

Jeszcze jeden dzień w raju

Aleksander Sowa



Nie czytaj tej książki, jeśli nie chcesz aby Twoja
ulubiona **czerwona sukienka** była jeszcze czerwiejsza,
nie czytaj jej jeśli na zawsze nie chcesz
mnie znieawdzić.

jeszcze jeden dzień w raju

Aleksander Sowa



© Copyright first edition by Artur Szulc 2007

© Copyright by Aleksander Sowa 2007

Okladka: Aleksander Sowa

Zdjęcia: www.sxc.hu

Redakcja i korekta: Łukasz Mackiewicz –
eKorekta24.pl

ISBN: 978-83-272-4139-9

--

Aleksander Sowa | Self-Publishing

www.wydawca.net

**Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie,
rozpowszechnianie części lub całości bez
zgody wydawcy zabronione.**

Opole, grudzień 2013 r.

1.

Dworce są bardzo do siebie podobne. Budynki z czerwonej cegły, betonowe perony, żelazo torów i kabli; zimą gawrony, szprycerzy i bezdomni. Ale stojąca na peronie dziewczyna nie zastanawiała się nad tym. Myślała o zupełnie czym innym, odległym jak oceaniczne antypody. Z kontemplacji wyrwały ją słowa:

– Stacja Opole Główne, stacja Opole Główne.

Z holu dworca patrzyła na wyjście. Rzuciła nerwowe spojrzenie na kolejowy zegar, identyczny jak zegary na innych dworcach.

Jeszcze nie czas, jeszcze muszę poczekać – myślała. Stała na wschodnim krańcu peronu, w miejscu, z którego doskonale mogła wszystko obserwować, pozostając jednocześnie niewidoczną. Zapaliła papierosa i się zaciągnęła.

– Mógłbyś mnie poczęstować? A... Bardzo panienkę przepraszam... Nie zauważyłem.

Bezdomny, zupełnie niespeszony, że wziął ją za chłopaka, przyłożył zgrubiałą dłoń do popękanych ust i ciągnął dalej:

– Nie poczęstowałyby mnie pani papieroskiem? Skoro biegasz sobie dla zdrowia wieczorami, i tak ci ten papieroszek jest chyba niepotrzebny, a mnie przyda się bardziej – mamrotał, mieszając formy grzecznościowe.

– Zjeżdżaj – warknęła.

– O! Nie musisz być taka niegrzeczna, nic ci nie zrobiłem.

Zalatywało od niego alkoholem, odorem brudu, męskiego potu i moczu. Zemdlilo ją.

– Spierdalaj, mówię, bo zawołam sokistów! Nie rozumiesz? – wrzasnęła.

– A, rozumiem, rozumiem.

Bezdomny z niechęcią się odwrócił i machając obojętnie ręką, mruknął ni to do siebie, ni do niej:

– Nie musisz być taką suką! Chciałem tylko papierosa.

Dziewczynę rozdrażniło to jeszcze bardziej, ale się nie odezwała. Nie chciała, aby ktokolwiek ją teraz zobaczył. Spojrzała raz jeszcze na zegar i zatrzymała błękitne oczy na dużej wskazówce. Poczula nieprzyjemny dreszcz. Wieczór był chłodny. Przemarzła w sportowym stroju. Nie padało, a mimo to powietrze było ciężkie od wody. Przypominało tchnienie wodospadu. Mgła stopniowo gęstniała, rozmywając i wymazując kontury rzeczy bliższych, czyniła jednocześnie te dalsze nieistotnymi dla źrenic. Przyćmione światło dworcowych lamp rzuciło parasole upiornego blasku.

Wtem usłyszała kroki. Dochodziły od strony wejścia. Naciągnęła kaptur mocniej na głowę i skryła się za filarem. Mrugająca i żarząca się ostatkiem sił świetlówka co chwilę skrywała ją na kilka sekund w nieprzeniknionym mroku dworcowego zaułka.

Czyjeś stopy cichutko stukwały w posadzkę. Kobieta powoli zbliżyła się do krawędzi peronu. Wszystko szło

zgodnie z planem – sądziła. Miała wrażenie, że zastawiona przez nią pajęczna sieć powoli napręży się i za chwilę ugnie pod ciężarem ofiary.

Czekała na Brunona. Nieznajoma się nie liczyła. Nie liczyła się jej tożsamość, choć w istocie powinna. Nagle w ciszy zabrzmiały kolejne kroki. Ukryta za filarem Beatka spostrzegła cień idącego mężczyzny. Jej serce zabiło mocniej. Chociaż nie widziała twarzy, a jedynie zarys, natychmiast poznała mężczyznę. Przy najmniej tak jej się wydawało. To był Bruno.

Przywarła plecami do drewnianego filara, oddychając głęboko. Dziewczyna z peronu i Bruno tymczasem się zbliżyli. Nie tego się spodziewała. Targały nią zazdrość, złość, rozczarowanie i nagle, jak zastrzyk adrenaliny, chęć zemsty. Alkohol potęgował doznania. Wieczór wydawał się magiczny. Pusty dworzec, mokre od mgły, gęste i ciężkie powietrze. Wszystko sprawiało wrażenie snu.

Miała nadzieję, że Bruno nie przyjdzie, że będzie tu sama, ale... przyszedł i z kimś rozmawiał. Był inny, zresztą to teraz nieważne. Ważne, że przyszedł. Nigdy by tego nie zrobił, gdyby jego słowa były prawdziwe. Wiedziała to doskonale. Ta myśl rozrywała jej serce, jakby wypełnione było nieustannie wybuchającym dynamitem.

– Międzynarodowy pociąg relacji Kraków Główny – Berlin Zoo wjeżdża na tor pierwszy przy peronie drugim – oznajmił zapowiadacz. – Przy wjeździe pociągu...

Potrójne światło hamującej wprawdzie, ale nadjeżdżającej z ogromną prędkością lokomotywy elektrycznej zbliżało się z łoskotem. Gdy do jej uszu doszedł pisk i ziemia zadrżała, spojrziała na peron, dłużej się nie kryjąc. Stali kilka kroków od niej.

Zdrajca i jego suka – pomyślała. Złość targła nią jak burza. Alkohol mnożył doznania. Poczula, że narkotyki zaczyna działać. Zapadła się poniżej poziomu dworca. Poczula uderzenie masy powietrza, jakby ogromna, kilkudziesięciometrowej wysokości fala przewaliła się przez perony. Mgła odcięła wszystko, co było bez znaczenia. Zostali tylko ona i Bruno. I pociąg. Nagle czas się zatrzymał, jakby po wciśnięciu pauzy, i życie zamarło. Jedynie ona i pociąg mogą się poruszać w tej chwilowej czasoprzestrzeni – myślała. Zrobi to teraz. Szybko, po cichu. Tak, by nikt nie widział. We mgle.

– Tak, zrób to. – Usłyszała. – Na torach, na dworcu. Tam, gdzie nikt nie widzi. Jak we śnie. Teraz. Zanim czas znowu ruszy w pęd ku przyszłości, sprawy już nie będzie. Nie będzie istniała. Bez zbędnych emocji, bez wyboru, obojętnie, w końcu i tak to nieważne, bez hałasu, niczym ostrze losu. – Pulsowało, rozsądając czaszkę. – Zrób to. Tak, by zabić.

Beatka jak gepard wraz z hukiem wtaczającego się cielska lokomotywy runęła na nich. Pchnęła mężczyznę wprost pod nadjeżdżającego kolosa. Obiema małymi dłońmi z rozwartymi palcami uderzyła w plecy i

by nie stać się ofiarą, równocześnie się odbiła. Wylądowała na płytach peronu.

Mężczyzna stracił równowagę. Wykonał jeszcze w powietrzu niepełny obrót, a zabójczyni ukazała się jego twarz. Teraz go poznała. W ułamku następnej sekundy w ciało na torach uderzyła rozpędzona lokomotywa.

Eksplodował czerwony kolor i odgłosy dworca zlały się w cichy, jednostajny dźwięk. Krew była wszędzie. Na niej. Na rękach, twarzy, we włosach. Zlepiła w ciężące jak cierniowa korona strąki. Czula krew na wargach i to, jak miesza się ze śliną i ścieka po brodzie. Była niczym rzeka płynąca wraz z pociągiem. Lawą z potrząskanej czaszki, trzewi, kończyn i płuc.

Nagle jej ciałem szarpnął dziki spazm. Wygięła się w nienaturalnej pozie i równie nienaturalny wrzask wydobył się z jej wnętrza, mieszając się z odgłosem hamującego składu. Dokonało się. Tak jak chciał los, wybierając ostrzem przeznaczenie, którego uniknąć nam się nie uda, choćbyśmy próbowali oszukiwać miłością, zemstą, zdradą czy namiętnością. Tak Bruno miał zginąć.

2.

Słowa te niech będą testamentem mojej miłości, mej duszy, pożogi lędzwi, grzechu, namiętności i żądz. Czy naprawdę są ludzie, którzy nie zasługują na kogoś, dla kogo będą jedyni w całym wszechświecie?

Na kogoś, dla kogo słowa i dotyk będzie najważniejszy? Na kogoś, kto będzie tęsknił za zapachem, smakiem i wibracjami strun głosowych?

– Należysz do tego typu istot, których nigdy nie będę miał dosyć – zwykł mówić o niej.

Była wyjątkowa. Gdybyście byli niewidomi, trzeba by znaleźć się w trzech miejscach, aby ją opisać. Po pierwsze, w lesie pachnącym deszczem – takiego koloru były jej oczy, gdy płakała. Potem nad morzem, w czasie sztormu, aby zrozumieć, jak patrzy, gdy w jej oczach jest wściekłość. I po trzecie, na pustyni, gdy zachodzi słońce, by dostrzec ogień, który palił się, gdy patrzyła z miłością. I gdyby na tej samej pustyni schylić się i nabrać ciepłego, spalonego słońcem piasku w dłonie, to przesypując go między palcami, można by poczuć kolor jej włosów. Kolor piaskowej burzy.

Taka była pierwszej nocy i taką chciałby ją na zawsze pozostać. Z dzikim spojrzeniem spod mokrych, niesfornych kosmyków, które przykleiły się do policzków i ust. Oczu, w które Bruno patrzył godzinami, by utonąć w nich jak marynarz w morskich odmętach. A on, patrząc w nie co dzień, nie wiedział, jakiego były koloru. Aż do ostatniego dnia.

– Jakiegoż bowiem koloru są oczy, kiedy mają barwę deszczu? – pytał.

Na jej ustach, one tak cudnie smakowały, milion słów wrytych jak przykazania. Słowa niepotrzebne, ważne, wielkie i małe... Tyle niewypowiedzianych, tyle wypowiedzianych spojrzeniem, gestem, dotykiem. Tyle

niepotrzebnych. Nocy spełnionych zapachem, zanim dotknął ją po raz pierwszy spojrzeniem bardziej gorącym od rozgrzanej lawy.

Była jak skała, o którą rozbijali się wędrowcy, choć chciała pokazać drogę w ciemnościach. Poprowadziła go jak dziewczynka starca, by zapłacił za przewóz Charonowi. On nie był starcem, ona nie była dziewczynką. Nie przepłynął Styksu. Nie, wtedy jeszcze nie, choć stał już u jego brzegu.

– Trzecia litera alfabetu, siódma, pierwsza, dwudziesta szósta i znów pierwsza. Moja Beatka. Mój Duszek. Moje wirtualne zauroczenie. Moja najcudowniejsza kochanka. Moje życie, mój grzech, mój ból w łądzwiach, pożoga, dusza i moja... niespełniona nadzieja. Beata. Beti. Atka i Bee – szeptał. – Taka bliska, daleka... Taka... nieprawdziwa? Czy to sen, czy śniłem? Czy była to prawda? – pytał. – Była rzeczywista czy moim marzeniem? Była, jest czy będzie?

Teraz wiem. Dziewczyna o Perłowych Włosach, pachnąca ciepłym, ożywym wiatrem namiętności jak bryza. Perlistowłosa. Duszek. W samych tylko skarpetkach, by ogrzać wiecznie zimne stopy. Z butelką wina Aszú z madziarskich winnic w dłoni. Oświetlona w półmroku ciepłym światłem świec. Smukłe palce, które wystukiwały na klawiaturze zakłęte w znaki słowa. Głos aksamitny i ciepły jak żar ognia w kominku. Ogromne, skryte za wachlarzem rzęs oczy. Namiętność, żądza, pożądanie, fascynacja, nienawiść, zazdrość i... miłość?

– Co wybrać, wysoki sędzie?

Tego straszego dnia na ziemię nie przyszedł świt. Słońce nie weszło. Spało zmęczone na łonie głębokiego zielonego jeziora. Posmutniał tego ranka jak każdy, kto traci część siebie, gdy słońce nie wschodzi. Aż się zlitowała i usłyszał:

– Chodź, pokaż mi niebo.

I oto po dniach pełnych mroku nagle rozbłysło światło jak piorun. Znow wszystko było takie jak dawniej, zielone i piękne. Ujrzał ją, najpiękniejszą kobietę na świecie, cudowną, wyjątkową, wspaniałą, i dziękował temu, kto ją stworzył – czy będzie to Bóg, Jahwe, Kriszna, Wisznu, czy ktokolwiek inny.

Stworzył Perlistowłosą wychodzącą z czystych wód Balatonu ze spienionych burzą fal. Woda spływała po jej opalonej skórze wielkimi jak lzy kroplami. W każdej na miliony lat zakłute było słońce i światło. Stapała po mokrej trawie. W dłoniach trzymała białe kamienie, wskazując wędrowcom drogę do domu. Był tego ranka zagubionym wędrowcem. Usiadła, by ogrzać stopy zimne od rosy żarem jego ciała. Położyła mu dłonie na oczach, by zapomniał o złym czasie, by zobaczył światło. Jej światło. Wtulila się w jego ciało jak puzzel, który tylko do niej pasuje spośród tysięcy, i głaskał ją, aby mogła zasnąć. Zabrał jej wszystkie niedobre sny, by mógł zostać sam z marzeniem. Śpiewając, ukolysał ją.

– Nie bój się, żaden duch, żaden cień, żaden ruch nie zbudzi cię ze snu. Jestem blisko i utulam, zaśnij, będę z tobą.

Przyszła, a wraz z nią tysiące zapachów lata, miliardy myśli i długie godziny, kiedy smagał go południowy wiatr niosący słoneczne dni i dzikie, niespokojne noce. Tego dnia wybiegł na wzgórze i rozłożył ręce, by czuć, jak wieje, niosąc zapachy odległych miejsc. Z każdą sekundą stawał się bardziej wolny. Szczęśliwy jak dziki koń wypuszczony po tygodniach niewoli. Potem spadły krople ciepłego deszczu i trwał w nim, pokryty łzami nieba. Czysty jak niemowlę.

Widzę ją teraz, jak znika za wielką niebieską górą, tonąc w polnych, kolorowych kwiatkach, i opowiadam wam bajkę o dziewczynie, w której włosach śpi światło. Szepczę cicho dziwne słowa, niełatwo wam będzie je zrozumieć.

– Wędrowcze, kiedy będziesz samotny, niech spadnie na ciebie mała gwiazda, niech cię prowadzi, jak innych prowadzą białe kamienie, wskazując drogę w mrokach samotnych nocy. Tak, wołam cię, obudź się, Dziewczyno o Perłowych Włosach, i prowadź go. Czekaj z perłami pomiędzy niebem a ziemią.

– Śnię? Czy była to prawda? Wszystko, czego teraz pragnę, wszystko, czego chcę, było kiedyś w moich ramionach, Wysoki Sądzie. Bóg mi świadkiem, nie tak miało być, nie tak!

3.

Zadzwoił domofon. Dwa krótkie dzwonki. Jak zwykle, by odróżnić znajomego od domokrażców oferujących jajka, ziemniaki, papier toaletowy, tańsze połączenia telefoniczne i gipsowe aniołki. Umówiony znak wszystkich wtajemniczonych. Zaskoczyło go, że już teraz. Wrócił o 16.00, wcześniej niż zwykle, bo też wcześniej, o 8.00, nie o 9.00, pojechał do pracy.

To była ona. To były jej kroki. Wsłuchiwał się w odgłos butów rozmiaru 39 zawsze, ilekroć był wcześniej. Do drzwi zadzwoniła kobieta, którą kochał. Pierwszy raz spotkał ją kilka lat wcześniej, w akademiku. Tamtego odległego piątku siedział przy stoliku przy oknie, przez które wpadało do ciemnej czeluści pokoju popołudniowe światło. Drzwi się otworzyły i wszedł jego współmieszkaniec. Bruno nie darzył go sympatią z racji upodobania do hałaśliwego przyrządzania śniadań i innych kłopotliwych bądź szczerze nieprzyjemnych dla współmieszkańców zwyczajów (by nie upadlać treści), wymienić wystarczy wieszanie podkoszulków na kaloryferze celem osuszenia z potu. Zatem stanął Pan Król – bo takie dostojne nazwisko nosił ten niecodzienny i, co tu dużo kryć, barwny osobnik. W tych samych drzwiach za jego plecami ukazało się dziewczę o oryginalnej urodzie, o której istnieniu Bruno wiedział, lecz nie dane mu było jeszcze się z wybranką Pana Króla zobaczyć. Stała w szarym, przy-

krótkim płaszczyku, który później tak dobrze zapamiętał.

– A więc to ty – rozpoczął.

– To ona – włączył się w ich pierwszy dialog Pan Król Nieproszony.

– Nie z tobą rozmawiam – uciał jego wylewną rozmowność. Jak się wkrótce okazało – nieskutecznie.

– Właściwie wychodzimy, więc możesz się już pożegnać – ciągnął dalej Pan Król Gadatliwy. – Idziemy do kina – dodał z jadowitym uśmiechem.

– Zatem współczuję – odparł do dziewczęcia i jako osobnik, któremu nader łatwo przychodziło nadawać ksywki, dodając: – Milagros.

Uśmiechnęła się i mocno speszona odeszła wraz z niefortunnym wybrankiem na, jak się okazało, różowitki film z Britney Spears w roli głównej.

Nazwał ją tak z racji, że „milagros” w którymś amerykańskim, jazgotliwym języku oznacza cud. Jakiś czas później w miłości do niej znalazł sens następnych lat życia. Dni, tygodnie i miesiące przepelnione miłością, której nie zrozumie ten, kto choćby raz jej nie doświadczył.

Malwina. Kwiatuszek. Moja M. Malwek. Kropeczki. Kołderka. Wisienki. Przylądki. Kołderka. Źródelko z kamyczkiem. Wysepka. Droga Mleczna. Rylec. Drab. Pies. Pieseczek. Ryj. Ich kod. Nie rozumiesz? Nie staraj się, kod miłości znają wyłącznie dwie osoby.

Pamiętał słoneczne dni, kiedy szczęśliwi spacerowali bez celu i po zupełnie zwyczajnych miejscach,

oglądając świat wspaniały oraz piękny. Rozstania i chwile wielkiego cierpienia z nieobecności, bez absolutnie żadnego substytutu głosu. Wszystko mówiące słowa piosenki, każde drzewo, kwiat i ptaki ćwierkające tak radośnie. Wszystko tak dobrze pamiętał.

Zmieniały się pory roku i wiosna każdego roku budziła się do życia wspaniała. Tego dnia jeszcze spała, ale w powietrzu intensywniejszy był już jej zapach. Co raz wyraźniejszy i bliższy.

Był szósty dzień kwietnia. Tysiąc czterysta pięćdziesiąty siódmy dzień razem. Otworzył drzwi z radością w sercu, która wypełnia każdego, kto zobaczy w drzwiach tego, kogo oczekuje i kocha. Bruno i Malwina. Ich ostatni dzień. W jej oczach dostrzegł łzy. Płakała. Chciał ją przytulić, zapytać, co się stało, ale rzuciła:

– Przestań! Odsuń się!

– Malwek, coś się stało?

– Nie pytaj o nic, bo nie odpowiem – rozpoczęła, siadając na skraju łóżka, na którym sypiali, po czym dodała, patrząc w oczy: – Odchodzę.

Nie pytał. Kawa nie smakowała. Zapalił silnik samochodu, ten rozgrzewał się powoli. Biegi wchodziły same, a przepisy i ograniczenia były bez znaczenia. Jechał przed siebie, a na koła nawijały się kilometry. Jechał w stronę zachodzącego najjaskrawszą purpurą słońca. Uciekał. Łzy płynęły po policzkach tak łatwo jak dźwięki z głośników radia. Potem przyszła sa-

motna i straszna noc, obojętny dzień oraz wieczór nieuniknionego powrotu.

W ich mieszkaniu zastał wszystko identyczne jak wtedy, gdy wyszedł. Tylko w łazience nie było już jej kosmetyków, mimo to z każdego miejsca wyzierały wspomnienia o niej. Lampa, którą kupiła w Ikea. Kaktus, którego kupili razem. Książki, płyty, ubrania i zapach, którego nie czuł, kiedy byli razem, a którego teraz nozdrza podświadomie poszukiwały, jak wyjęty z wanny karp przed Wigilią szuka wody, co pozbawione jest sensu tak samo jak to, co robił teraz.

I nagle kuchnia. Zlew. Zwykły, metalowy, ocynkowany, prosty, taki sam od lat. Wewnątrz dwie filiżanki po kawie. Nigdy z nich nie pili. To ona piła. Z kimś.

Wszedł do łazienki i skierował wzrok na klozet. Deska podniesiona. Patrzył na kibel i słyszał jej słowa:

– Pamiętaj, że cię kocham.

Wywalil z siebie kolejne porcje wymiocin.

– Kurwa, jak to możliwe?

Czuje, jak życie sypnęło mu piachem w oczy. Nic nie widzi. Nie wie, co dalej, i wciąż zadaje sobie to pytanie.

Mijają dni i noce. Samotne. Życie toczy się wokół dojazdu do pracy, pracy, powrotu, snu i posiłków nieustalanej treści. Przychodzi do tych murów i płacze. Jak dziecko. Prawdziwymi łzami. Nikt tego nie widzi, ale i tak niewielu by zrozumiało. Jedynie ci, którzy sami płakali. Tylko płacząc w samotności, ma się z tego pociechę.

Znikła nagle jak ciekły azot w powietrzu. Przepłynęła między palcami jak mgła i choć była tutaj jeszcze przed chwilą, teraz pyta ją, które zdjęcia chce zabrać. Czuje, że jest obca, jak ktoś, kogo nie widział od lat.

Spędza z nim niektóre noce, by zrozumieć, że nie wejdą już nigdy do tej samej rzeki. Nie będą kochankami i nie połączy ich ust nic innego jak tylko przywiązanie. Jaki sens pić to samo piwo, kiedy uleciał gaz? Nigdy nie będzie już na ich ustach słowa „kocham” i ani cienia namiętności. Nie będzie słów: żyję tylko dla ciebie. Nie będzie wycieczek do miasta Karola, kiedy mróz trzaska, ani obrzydliwej czeskiej herbaty na Staroměstském náměstí, która pomimo podłego smaku cieszyła podniebienie i serce. Nie będzie uśmiechów i wysokich dzieci. Nie będzie domu z ogródkiem, kota, psa i nie będzie nas. Nie będzie tego wszystkiego, co jej obiecał i co ona obiecała. Nie będzie nigdy już nas... Bo „nas” umarło.

Zostanie żal, że miała odwagę zrobić to, co trzeba było i co przyszłość przyniosłaby sama. Że spieprzyli, co mogło być inaczej.

4.

W biurze panował popołudniowy spokój. Czas ten charakteryzowała cisza, brak zajęć, nuda i myśli, że nim duża wskazówka wykona dwukrotnie okrążenie po cholernej tarczy, będzie można zamknąć. Teraz zegar wskazywał za dziesięć trzecią.

Przez otwarte okno do wnętrza wpadało świeże wiosenne słońce i zapach ciepłego powietrza. Po chłodnym marcu nagle przyszyły dni tak gorące, że natchmiast wszyscy poczuli lato. Wydawało się, że jest tak gorąco, bo wcześniej było tak bardzo zimno. Zima tego roku należała do tych najprawdziwszych. Gdy po pierwszych chłodach w połowie grudnia spadł śnieg, leżał nieprzerwanie przez niemal 120 dni. Przed świętami, w czasie zbiorowych mordów karpki, słupki rtęci pokazywały temperaturę poniżej zero, mocno, bezlitośnie i uparcie. Przez prawie trzy miesiące temperatura nie była wyższa niż -5°C . W połowie lutego był ponad 30-stopniowy mróz, który sparaliżował na kilkanaście dni ruch na ulicach i skrzyżowaniach. Staruszkowie kiwali głowami, wspominając zimy, które pamiętali z młodości, a oczekujących na przystankach spóźnionej trójki, dziewiątki czy piętnastki szlag trafiał.

Beatka zaczęła pracować w pierwsze dni grudnia. Dni pełne euforii, zapału i dreszczyku nowości, kiedy źrenice na każdy dzwonek telefonu czy skrzyknięcie drzwi rozszerzały się jak u polującego rysia, ustąpiły teraz biurowej monotonii i nudzie.

– Hm, ależ takie promienie słońca są przyjemne – pomyślała, parząc popołudniową inkę z mlekiem.

Skrzywiła się na myśl, że czuje zbliżający się okres. Zaczynała pęcznieć. Za kilkanaście godzin będzie się czuła jak noworoczny balon. Jej piersi wyraźnie się zaokrągliły i stały się wrażliwe na dotyk.

Tutaj światem był dla niej monitor. Nie licząc oczywiście wielkich okien. Często siadała na parapecie i patrzyła na podwórza. Stąd obserwowała dzieci bawiące się na dziedzińcu. Patrzyła na gołębie zlatujące pod ławeczki i na karmiących je ludzi. Relaksowała się, wydmuchując dym przepelniony arsenem, butanem i cyjanowodorem.

Wreszcie będą mogła założyć sukienkę – pomyślała.

– Ale dziś nuda – rzekłszy to do siebie, spojrzała na wiszący na ścianie kalendarz.

Wskazujący datę czerwony kwadracik zakłul ją w oczy. Z niezadowoleniem stwierdziła dwie rzeczy. Pierwszą, nieprzyjemną, że po przyjsciu tutaj zapomina przesunąć ów kwadracik na aktualną datę. Druga była znacznie bardziej nieprzyjemna: do dziesiątego brakuje jeszcze równo dwóch tygodni. Dziesiąty był dniem Matki Boskiej Pieniężnej, jak mówił Igor. Czyli dniem, w którym na jej koncie pojawiały się cztery nowe, następujące po sobie cyfry. Szkoda, że nie pięć, ale dobre i to.

Jak to jest, że mam tyle czasu na wszystko, a zawsze, kiedy popatrzę na kalendarz, to nie wskazuje, jak trzeba? – dziewczyna leniwie poddawała się myślom. Podeszła do ściany. Przesunęła znacznik na czwartek 26 kwietnia.

Usiadła na parapecie, słońce podkreślało jej jasny i ciepły kolor oczu, a jej myśli znów uciekły daleko. Pracuje tu już prawie pół roku – myślała. Czasem ktoś przyjdzie i wtedy się nie nudzi, bo ma co robić. Ale są

również takie dni, kiedy przez osiem godzin odbierze 5–6 telefonów, na chwilę wejdzie jakiś człowiek i zaraz potem sobie pójdzie. Chyba to jednak dobrze – pomyślała. W końcu, kiedy chcę, mogę wyjść do sklepu czy gdziekolwiek indziej.

Nagle z zamyślenia obudził ją dźwięk komunikatora, sygnalizujący, że ktoś z listy kontaktów włączył komputer. Pokręcone jasne kosmyki włosów opadły jej na usta, odsunęła je za ucho i postanowiła sprawdzić, kto jest dostępny. W tej samej chwili odezwał się dzwonek biurowego telefonu.

– Travelsun, słucham.

– Dzień dobry, dzwonię w sprawie wyjazdu – zabrzmiał głos w słuchawce.

Ach, więc to jakiś klient – pomyślała. Kilka minut później skończyła i przez głowę przeszła jej myśl, jacy ludzie są dziwni. Czasem pytają o tak oczywiste sprawy, jakby chcieli zapytać:

– Proszę panią, czy jutro wstanie słońce?

– Myślę, że tak – odpowiadała zawsze uprzejma, z uśmiechem w głosie i brakiem na twarzy. – My jako Travelsun zrobimy wszystko, co w naszej kompetencji, aby wstało. Mogę zapewnić, że wstanie.

– A czy będzie również w powietrzu dużo powietrza?

W czasie takich rozmów starała się zawsze zgadnąć następne pytanie.

– Tak, będzie czym oddychać, a jeśli nie będzie przez kilka dni, to troszkę będzie trzeba poczekać, ale

potem znów będzie można oddychać normalnie, proszę pana.

Odkładając słuchawkę, uśmiechnęła się do absurdalnych myśli. W istocie dzwoniący pytali o warunki wypoczynku, wycieczki fakultatywne oraz ceny i nie byłoby w tym nic złego, gdyby zawsze nie pytali o to samo. Mocno ją to na początku drażniło, ale teraz, kiedy przywykła, te pytania już tylko ją nudziły.

Poczuła, że pęcherz zaczyna ją uciskać i za kilka godzin będzie wiedziała, gdzie natura umieściła w jej podbrzuszu jajniki. Tak, już przed tym telefonem miałam iść do łazienki. To przez ten kalendarz zapomniałam – pomyślała, szukając wzrokiem wśród rozrzuconych na biurku papierów klucza do toalety. Kiedy wróciła, zaniepokoiła ją cisza. Pamiętała, że gdy wychodziła, grało radio.

– Coś znów się w nim przestawilo.

Pokręciła, szukając stacji. Szybko ją znalazła.

– Do 22 stopni, noc pogodna, nad ranem... – mówił głęboki jak Bajkał głos radiowca.

– Cwany jesteś, bo możesz podawać przyjemne wiadomości ludziom stęsknionym po zimie ciepła i słońca – odparła do radiowca, zdziwiwszy się zarazem, że mówi do siebie.

Zaraz skończy, pogoda to zawsze ostatni punkt programu wszystkich wiadomości – myślała. Nie lubiła wiadomości. Zbyt dużo w nich polityki.

Może by tak pójść dziś na naleśniki albo pierogi? Nie wiem, czy się jeszcze oplaca – myślała, spogląda-

jąc na zegar. Zaraz będzie trzecia, a jak wyjdę wcześniej, będę w domu dziesięć po piątej. A, miałam sprawdzić, kto jest dostępny – przypomniała sobie. Przesunęła kursor na żółte słoneczko Gadu-Gadu w prawym dolnym rogu ekranu. „Arkadiusz jest dostępny”.

Dawno się nie widzieliśmy – pomyślała o koledze. A tam, i tak nie mam nic do roboty. Może pogada ze mną chwilkę.

Spotkała go w NL. Już przywykła, że nie mówi się i pisze „Holandia”, ale po prostu „NL”. To skrzywienie zawodowe, które swoje źródło ma właśnie w kontaktach na Gadu-Gadu. A teraz też jest już tylko GG.

W NL była w zeszłym roku. Po tygodniu nauki od rana do wieczora z wyjątkiem niedziel miała dosyć. Chciała wracać. Tego sobotniego wieczoru jej holenderska wredna kierowniczką wyżyła się na niej za to, że nie była grubą, brzydką, piegowatą, zgorzkniałą starą panną jak ona. Rozplakała się.

Wracając z płaczem do mieszkania, w którym wegetowała z innymi dziewczętami, zobaczyła znajomy kształt. Dziewięciosobowy opel vivaro w kolorze maków stał kołami jednej osi na chodniku. Przyjechała tutaj tym samochodem. Poczula impuls i wbiegła do domku, gdzie spali kierowcy. Zaczęła pukać. Łzy ciekły jej po policzkach. Otworzył wysoki blondyn w slipkach, przecierając oczy z zaspania, z otwartymi ze zdumienia ustami.

– Zabierz mnie stąd!

– Co?

– Zabierz mnie stąd, słyszysz? – krzyknęła i wybuchła płaczem ze zdwojoną siłą.

– Chodź.

Chłopak, chyba nadal nie rozumiejąc, rozłożył ręce, chwycił ją za ramiona i przytulił. Kiedy się uspokoiła i przecierała mokre od łez oczy, dodał:

– Jutro o dwudziestej wracam. Jak chcesz, to cię zabiorę.

Chciała. Bardzo chciała. Zabrał ją i tak się poznali. To był Arek. Wracając, całą drogę z nim przegadala, śmiejąc się, żartując i rozmawiając o rzeczach błahych i najważniejszych. Oczywiście o premii musiała zapomnieć. Choć wykręcała się problemami rodzinnymi, to i tak straciła pracę.

Od tamtej chwili spotykali się często. Zapraszał ją do kina i na kolacje. Był miły i wesoły, ale wkrótce się okazało, że chce, jak niemal każdy, czegoś więcej, a ona – no cóż... Nie zrobiło to na niej najmniejszego wrażenia. Świadoma swojej urody przyzwyczaiła się do ciągłych propozycji ze strony mężczyzn i traktowania jej tak, jakby jedyne, co miała do zaoferowania światu, to jej ciało. Owszem, podobało się jej to i lechtało kobiecą naturę, tyle że dawno do tego przywykła i zaloty nie robiły na niej żadnego wrażenia.

Arek był jednym z nich. Typowy facet, których spotykała dziesiątki, jeśli nie setki. Miły koleś.

– Co tam u ciebie, Areczku? – Wystukała na klawiaturze smukłymi palcami. – Dawno się nie widzieliśmy, prawda? – wysłała.

Patrzyła w kwadratowe pomarańczowe okienko na ekranie i czekała. Czasem jej odpowiadał. Tyle że bardzo rzadko. Zwykle pisał bardzo wolno i z okropnymi błędami. Był właścicielem tej firmy, która ich wtedy wiozła. Kiedy wróciła, Travelsun tworzył filię w jej mieście. Z racji swojej pracy Arek miał „szerokie i rozległe kontakty wśród wszystkich szefów”, więc „zalał” jej pracę, powodowany z pewnością czymś więcej niż tylko chęcią pomocy koleżance. Teraz nie odpowiadał na wirtualną zaczepkę.

– Puk, puk... – wystukała.

Cisza. Spojrzała za monitor na karton z sokiem. Obeszła biurko i nalala soku do szklanki z ciętego szkła. Dziś Arek chyba znów nie ma czasu odpowiadać, jak zwykle zresztą – pomyślała, czekając na odpowiedź.

Postanowiła podlać kwiaty. Kiedy wlewała wodę w pierwszą doniczkę, usłyszała cichy dźwięk komunikatora. Aha, a więc odpowiedział – uśmiechnęła się do swoich myśli. Nie widziała jeszcze treści wiadomości i tę chwilę lubiła najbardziej. Pociągnęła łyk pysznego soku i wróciła przed monitor. W radiu cichutko zaczął się jakiś egzotyczny utwór rockowy. Jej wilgotne usta miały teraz słodki smak. Kliknęła na żółtą chmurkę z napisem „Arkadiusz przesyła wiadomość”.

– Mam na imię Bruno. – Wyświetliło się na ekranie.

Co masz na imię? To znaczy... Jak masz na imię? Nie rozumiem, pomyślała. Przecież na tym GG zwykle był Arek albo jego brat, a nie jakiś Bruno. W ogóle co to za imię? Nic nie rozumiem! Może znowu zebralo mu się na żarty i chce ją wkręcić w jakąś nieprawdziwą historię, aby śmiać się z niej do rozpuku.

– Jak to Bruno, Areczku? Czy Ty znów mnie na coś nabierasz? – wysłała.

Po chwili nadeszła odpowiedź:

– Jestem jego nowym pracownikiem. Naprawdę nie mam na imię Arkadiusz.

– Jak to?

– Tak to. – Odpowiedź nadeszła niemal natychmiast.

Tak szybko Arek nigdy nie pisał – pomyślała. Coś mi tu nie gra, nic mi nie mówił o żadnym nowym pracowniku. Ech, pewnie znów się zgrywa.

– To bardzo ładne imię, wiesz?

Szybkość odpowiedzi, brak błędów i to, że piszący używał polskich znaków, zupełnie nie pasowało do wizerunku kolegi.

– Tak?

– Oryginalne – dodała.

– Oryginalne, tak?

– Ale ładne.

– „Ale”? Hm... – podchwycił.

– To taka... zagadka na sam początek.

– Zagadka? – Chyba naprawdę się zainteresował.

– Tak.

– Hm...

– Myślisz, że umiałabym poprawnie zdrabniać to imię?

– Myślę, że tak.

– Mnie przychodzi na myśl tylko „Brunonku” – pisała.

– Ładnie.

– Mnie też się podoba.

– A Bruno?

– Co „Bruno”?

– Podoba Ci się?

– Jak „Bruno”? Jak podoba mi się? – dziwiła się. – Przecież tak masz na imię, po prostu, bez zdrobnień.

– Nieprawda.

Co znaczy „nieprawda”? O co chodzi? Siedziała pochylona nad monitorem, a na policzkach pojawiły się rumieńce.

– Samo w sobie – odparł.

– Nie rozumiem... Brunonku... Jak to „samo w sobie”?

– Bruno to zrobienie od Brunon.

No jasne! Facet ma cholerną rację. Idiotka! Kretynka! Dziewczyna dopiero teraz się zorientowała i trzepnęła się dłonią w czoło.

Hm... – uśmiechnęła się. To na pewno nie Arek. Zbyt szybko odpowiada – pomyślała, jednocześnie poczuwszy dreszcz. Tam jest ktoś, kogo nie zna. Jeszcze.

– Ale dziękuję bardzo za mile słowa. – Zobaczyła na monitorze. Wzięła jeszcze jeden łyk soku i napisała:
– A więc, Brunonie... Siedzisz sobie w biurze i jesteś pracownikiem Arka, tak?

Czula, że ogarnia ją ciekawość.

– Tak.

– W takim razie gdzie jest Arek?

– Pojechał do Holandii.

Jej liczne kontakty ze znajomymi na GG nauczyły ją błyskawicznie pisać na klawiaturze, ale ktoś w Arka biurze był jeszcze szybszy.

– Pojechał na dziewczyny? – zapytała.

Niemal natychmiast zobaczyła odpowiedź:

– Raczej na autobusy.

Roześmiała się. Teraz była pewna. To nie może być Arkadiusz. W takim razie kim jest jego pracownik?

– Jak to na autobusy? Nie rozumiem.

– Pojechał oglądać. Ma zamiar kupić jeden z nich.

– Od kiedy u niego pracujesz?

– Od soboty.

– Od której? Od tej?

– Nie, od tamtej.

Znów wybuchła śmiechem.

– W takim razie od prawie dwóch tygodni, tak?

– Tak, dokładnie jestem tu dziesiąty raz.

– Ach, rozumiem. Pracujesz również w soboty?

– Tak.

– I jak jest?

– W soboty jest najwięcej pracy.

– A ogólnie?

– Ogólnie jest... Hm... Dopiero zaczynam się odnajdywać.

– No tak. Początki są zawsze trudne.

– Tak powiadają.

Jak to możliwe – pomyślała – że ktoś nowy od prawie dwóch tygodni jest tam, a ona nic o tym nie wie i nudzi się w biurze?

– Naprawdę masz na imię Bruno?

– Tak.

Odpowiada „tak”! Nie pisze jak wszyscy „no”, tylko „tak”. Nie zna nikogo takiego. Wymówiła głośno jego imię: Bruno. Uśmiechnęła się. Nie zna nikogo, kto nosiłby takie imię.

– To raczej rzadkie imię, prawda?

– Zgadza się.

Zaraz dopisał:

– To znaczy: zgadza się.

Nie musiał tego robić, doskonale wiedziała, co miał na myśli! Pomyślała, że nie zna też nikogo, kto by się poprawiał po tak blahym błędzie.

– Ale nie do końca – kontynuował.

– Jak to „nie do końca”?

– Nie do końca rzadkie.

– Dlaczego?

– Wielu ludzi ma tak na imię.

Ciekawe – pomyślała – nie znam nikogo.

– Przeważnie mężczyźni.

– Przeważnie.

Starala się przypomnieć innego Brunona. Uśmiechnęła się i gdy zastanawiała się, co odpisać, wiadomość od niego ubiegła jej zamiar.

– Albo miał, np. Bruno Schulz.

W tej samej chwili o nim pomyślała. Ubiegł ją.

– Więc jeśli jeden z najwybitniejszych pisarzy na świecie miał takie imię, to chyba nie do końca jest ono rzadkie?

– Tak, to fakt... Bruno Schulz miał tak samo na imię jak ja.

– Mówisz, że to Bruno Schulz ma tak samo jak Ty na imię. A nie jest przypadkiem odwrotnie, hm? – spytała, bo rozmówca wydał się jej troszkę zarozumiały.

– Uhm... – Pojawiło się na monitorze. – Myślę, że to on miał tak na imię jak ja.

Tak, teraz poczuła, że denerwuje ją jego zarozumiałstwo.

– A Ty, Droga Nieznajoma Wirtualna Rozmówczyni – jak masz na imię? – zadał dzisiaj pierwsze pytanie.

Niemal zatkało ją formą i treścią. Zapomniała o tym. Zapomniała całkowicie. Boże, jak mogła? Przecież każde dziecko wie, że jeśli poznaje się kogoś nowego, trzeba się przedstawić. Nie zrobiła tego. Co za wstyd!

– Moje jest chyba trochę mniej popularne – odparła. – Mam na imię Beata.

– W takim razie bardzo mi miło, Beatko. Masz bardzo ładne imię. Pięknie brzmi. Jest takie... dźwięczne. Spróbuj je wypowiedzieć głośno.

Zrobiła, jak prosił, ale nie wydało się jej inne niż zwykle.

– I co, poczułaś to? Słyszałaś? Jest takie ciepłe. Takie kobiece i pachnące. Przepelnione pozytywną energią i wibracjami strun głosowych jak szepty kochanków w czasie miłości.

Co to za gość! – myślała. Zrobiło się jej gorąco. Nie dość, że jest zarozumiały do szpiku kości, to na dodatek od razu opowiada jej „takie” rzeczy. Nie żeby to nie było mile, ale to chyba zbyt... hm... – przez moment nie mogła znaleźć odpowiedniego słowa – ...zbyt obcesowe, bezceremonialne. Rozdrażnił ją. Zaczęła pisać:

– Brunonie, to zbyt zuchwały komplement.

Ale już nadeszła kolejna wiadomość:

– Droga Beatko, naprawdę kierujesz się uczuciem?

Jeszcze bardziej rozdrażniona odpisała niezgodnie z prawdą:

– Dlaczego „naprawdę”? I niby dlaczego uczuciem?

– Ponieważ Beatka to kobieta, którą wypełnia światło, jasnowłosa, która kieruje się w życiu sercem, dokonując wyborów. Biorąc pod uwagę łacińskie pochodzenie, jest to żeński odpowiednik Beatus, oznaczający „błogosławiona”.

– Zaskoczyłeś mnie.

– Czym?

– Właśnie tym.

– No więc? Jesteś błogosławiona bądź w stanie błogosławionym?

– Powiem Ci kiedy indziej, dobrze? – Nie wiedziała, co odpowiedzieć, więc postanowiła grać na zwłokę.

– Dobrze. Ale pod jednym warunkiem...

– Tak?

– Opowiem Ci coś jeszcze o Twoim imieniu, chcesz?

– Chcę...

– Jeśli zdrobnić „Beata”, będziemy mieli „Beatkę”, makaronizując: Beti, z angielskiego: Bee, czyli Pszczółkę albo... hm... Tytkę... i... Atkę.

– Jesteś normalny?

– W jakim sensie?

– W takim, że jak idziesz ulicą, to ludzie zwracają na Ciebie uwagę?

– Tylko piękne kobiety.

– Czyli uważasz się za normalnego?

– Mniej więcej... Ze wskazaniem na „mniej”.

– Aha, to dobrze. Jak na mój gust to nie całkiem jesteś normalny.

– Why?

Co to ma znaczyć? – pomyślała. „Why”! Przecież to angielski! Ale fakt, jest krócej, więc to ma sens. Uśmiechnęła się do monitora.

– Przecież zwykli ludzie nie wiedzą takich rzeczy.

– A kto powiedział, że jesteśmy zwykłymi ludźmi?

No tak. Miał trochę racji. Przecież każdy jest inny.

– Nie odpowiedziałaś. – Znów przyszła wiadomość.

– Tak?

– Tak.

Przesunęła archiwum wiadomości do góry, próbując odszukać pytanie, tymczasem już pisał:

– Stwierdziłaś, jakobym był nienormalny. Pytam dlaczego.

– Aha... No bo ludzie zazwyczaj nie wiedzą takich rzeczy.

– Jeszcze wielu rzeczy o mnie nie wiesz...

Postanowiła zmienić temat. Czowała się nieswojo. Był pewny siebie, ale jednocześnie w bardzo subtelny i delikatny sposób, tak jakby znał swoją wartość i niczego się nie bał.

– Ale innych sławnych mężczyzn noszących Twoje imię chyba nie ma już tak wielu.

– Przede wszystkim Giordano Bruno – pisał – chociaż on akurat miał tak na nazwisko, więc nie wiadomo, czy się liczy. Ale jest też Bruno z Kolonii, święty. Bruno Bonifacy z Kwerfurtu, też święty. Bruno Jasiński, poeta. Bruno Kiciński, dziennikarz. Chyba wystarczy? – pisał z zadziwiającą szybkością.

– Masz rację, Brunonku. Chyba tak. Zadziwiasz mnie...

– Z Kicińskim czy z Jasińskim?

– Z Bonifacym z Kwerfurtu.

– Aha :-)

Prawdę mówiąc, zaimponował jej błyskotliwością. Sypał nazwiskami, jakby znał tych ludzi i wiedział wszystko.

– Dobry jesteś.

– Daj spokój – odpowiedział, a jej nagle zrobiło się słodko.

Znała to uczucie. Czasem ogarniało ją, kiedy widziała dzieciątko w wózku, albo w czasie spaceru z tatą w parku. To jedno zdanie rozmiękczyło jej nastawienie. Nie był już zarozumiały, ale poczuła, że to, co pisze, jest jego naturalną odpowiedzią.

– A co oznacza to imię? – zapytała.

– Jest pochodzenia germańskiego.

Znów zaczął sypać z rękawa informacje, o których w życiu nie słyszała, a na pewno nie byłaby w stanie ich zapamiętać, choć może powinna.

– Wywodzi się od słowa „brün” oznaczającego niedźwiedzia. Forma „Brunon” powstała pod wpływem łacińskiego. W Polsce imię Bruno zanotowano już w XIII wieku. Myślisz, że jest trafne?

Niech go szlag! Skąd on wie takie rzeczy? Była teraz zszokowana. Co za mądrała! Postanowiła, że nie będzie grać głupiej gęsi i też coś napisać!

– Nie wiem... Nigdy Cię nie widziałam. Nic o Tobie nie wiem. Nawet ile masz lat i jak wyglądasz, Mój Drogi. A masz tyle włosów co niedźwiedź?

– Troszkę mniej.

Nim odpisała, nadeszła kolejna wiadomość:

– Ale zapewniam, Apollo przy mnie to pestka.

Znów ją rozbawił, tym razem prawie do łez. Spodobał się jej. Miło się z nim gawędziło. Nie pozwalał jak wszyscy, którzy ją widzieli po raz pierwszy i udawali kogoś, kim nie byli, chcąc zagwarantować sobie prawo do zdjęcia jej majtek.

– Rozbawiłeś mnie.

– Cieszę się bardzo.

– Ja też.

– Daj spokój!

Znów to zrobił! Znów użył tego sformułowania. Rozmiękczał ją tym swoim „daj spokój”. Tak się nie pisze – myślała – tak się mówi.

– Kiedyś coś czytałem o imionach przy okazji pracy magisterskiej i stąd to wiem – odpowiedział.

– O, ja też muszę skończyć swoją. Jejku... Zupełnie mi to nie idzie! I bardzo się tym martwię.

– Jak chcesz, pomogę Ci.

Ciekawe jak? – pomyślała, spoglądając na zegarek. Było już po piątej! Pisząc z nieznanym, zapomniała o bożym świecie. Za pięć minut musi wyjść z biura, aby zdążyć na autobus.

– Muszę kończyć, Brunonku! Idę do domu. Będziesz jutro na GG?

– Tak, będę. Milego wieczoru, Bee!

– Bee?

– Zdrobnienie.

– Zdrobnienie?

– Internetowe... „Bee” od „Bea”... W sensie Pszczółka. Fonetycznie.

– Niech będzie, Brunonku.

Hm... Tego też jeszcze nie było – aby ktoś mi życzył miłego wieczoru – pomyślała, zamykając biuro. W autobusie wciąż o nim myślała. Bardzo dobrze się z nim rozmawiało. Kim jest ten Bruno? Ciekawe, jak wygląda, ile ma lat. Miły był bardzo. Taki nienachalny i szybko się z nim rozmawiało, a czas tak prędko zleciał. Niepotrzebnie się na niego zdenerwowałam – pomyślała, uśmiechając się do szyby i zmieniających się za nią obrazów.

5.

Wnętrze czerwonego volkswagena garbusa nagrzało się od kwietniowego słońca. Kiedy Bruno kręcił korbką, by uchylić okno, myślał, co dziś spotkało go w biurze. Przekręcił kluczyk i silnik, o dziwo, od razu wesoło zamruczał. Oczywiście zaczął kaszleć i pracować nierówno, ale to było normalne, kiedy był zimny.

Parkował zawsze na chodniku. Potem, kiedy zaczęło się robić cieplej, podjeżdżał pod wielkiego orzecha. To zapewniało nieco klimatyzacji, kiedy wsiadał do auta po piątej.

Wbił bieg i ruszył. Miał do domu kilka kilometrów. Uwielbiał drogę powrotną. Mógł cieszyć się spokojem po pracy i nie musiał się śpieszyć. Oczywiście, gdyby chciał, mógłby. Ale teraz nie miało to sensu. Zwykle musiał się śpieszyć, kiedy rano jechał do pracy. Prawie zawsze trafiał się wtedy jakiś kierowca, częściej ko-

bieta, która jechała tak, że szlag go trafiał, gdy myślał o jeździe i wskazówkach zegara.

Było po piątej, na szóstą był umówiony z kobietą, by obejrzyć mieszkanie. Kiedy Malwina odeszła, nie mógł pozostać dłużej w ich mieszkaniu. Musiał się wyprowadzić. Tam zbyt wiele jej było. Ciągle o niej myślał. Przyszła i odeszła. Został sam z mieszkaniem, ze wspomnieniami i sercem, które co noc wyżynała rozpacz, a rano powstawało na nowo, by wieczorem znów było co wyciąć.

Kobieta od mieszkania wydawała się sympatyczna, kiedy rozmawiał z nią przez telefon. Choć miała przyjemne nazwisko – nazywała się Jolanta Słowik – w istocie była wyborową suką. Ale o tym przekonał się nieco później, kiedy przyszło rozmawiać o pieniądzach. Była kobietą, która w wieku lat pięćdziesięciu kilku wyglądała na młodszą o kilka lat. Natomiast doświadczeniem odpowiadała piramidom egipskim, przy czym najprawdopodobniej jedynie w kwestii oszustw, matactw, wyludzeń i wszystkiemu innemu, co mogłoby jej zapewnić jak największy dostatek oraz luksus. Była od kilku lat wdową, dwukrotną zresztą, co zważywszy na jej półwiecze, było osiągnięciem w jego przekonaniu niemalym i również dawało do myślenia.

– Dzień dobry – powiedział, kiedy otworzyła drzwi.
– Rozmawialiśmy przez telefon o mieszkaniu. Nazywam się...

– A tak, przypominam sobie. Hm, myślałam, że będzie pan wyglądał nieco inaczej – odparła, zapraszając

Brunona do wnętrza. – Proszę, niech pan wejdzie, porozmawiamy o warunkach wynajmu – mówiła, równocześnie wypuszczając kłęby dymu z cienkich jak słomka papierosów.

– Wolalbym najpierw obejrzeć mieszkanie – odrzekł, zagłębiając się w długie, mroczny korytarz.

Po chwili z widma drzwi, od kuchni – jak mniemał, bo czuł zapach kolacji – wybiegł z jazgotem paralityczny jamnik, wpadając w poślizg tylną parą łap. Skundlony pies, podchodząc z udawaną odwagą, jął najpierw warczeć na intruza, by następnie z ogromnym zainteresowaniem bezczelnie obwąchiwać lśniącem nosem buty gościa.

– Tylko się ubiorę i zaraz pojedziemy. – Udawana uprzejmość drażniła.

– Dobrze, poczekam.

– Więc na ile chciałby pan to poddasze? – zapytała z któregoś z mrocznych pokoi.

Jej mieszkanie napawało go strachem, obrzydzeniem i grozą. Zastanawiał się, jak można mieszkać w takich warunkach. Było tu ciemno, duszno, śmierdziało papierosami, psią sierścią, zapewne też odchodami i moczem, choć wołał sobie tego nie uświadczać. Nie zdziwiłby się także, gdyby w którymś z pokoi rozkładało się ciało jej drugiego lub, co gorsza, pierwszego małżonka.

– Nie wiem, najpierw chciałbym je zobaczyć.

Pies nie dawał spokoju i zlustrowawszy dokładnie lewy but, bezceremonialnie przymierzał się do rozpo-

częcia kopulacji z golenią Brunona, oblapiwszy nogę przednimi łapami i wywaliwszy jęzor na wierzch.

– Daj spokój, Rex – powiedziała właścicielka zwierzęcia.

Pojawiła się, kiedy miał już gołymi rękoma udusić rudzielca na krzywych nogach.

– Więc chodźmy – rzekła Land Lady, jak w myślach natychmiast ją ochrzcił.

Wzięła z wiklinowego koszyka kluczyki do auta i wyprowadziła się zręcznie z wąskiego korytarza, jednak nie omieszkała się otrzeć o plecy Brunona zbyt dużym biustem.

– Och, przepraszam. Powinam już dawno ją zburzyć – powiedziała, wskazując kluczami ścianę. – Ale ciągle nie mam czasu, by to zorganizować. Zna się pan na budowlance? – zapytała, zamykając drzwi na dwa zamki.

– Niestety nie bardzo – odpowiedział niezupełnie z prawdą, bo w technikum bardzo lubił murować i pomagać majstrom we wszelkiego rodzaju remontach oraz przebudowach. Umiał trzymać kielnię i wiedział, do czego służy rajbetka. Potrafił kłaść posadzki i budować proste ściany.

– Szkoda, bo może mógłby mi pan pomóc.

– Wolę niczego nie zepsuć.

– Trudno. Przyjechał pan samochodem czy autobusem? – zapytała, błyskając wąskimi oczkami, na których było stanowczo zbyt dużo tuszu, a mimo to doskonale komponowały się z nadmiarem czerwonej

szminki na ustach. W naturalnym świetle przywodziła na myśl aktorkę z opery mydlanej.

– Samochodem.

– Uhm – mruknęła. – A którym? – zapytała bezceremonialnie, chcąc zapewne ocenić status materialny, a tym samym wypłacalność lokatora. – Przepraszam za wścibstwo.

– Tym czerwonym. – Wskazał garbusa.

– To pana?

Udała zdziwioną, lecz z jej głosu wyczuł, że chętnie wynajęłaby mieszkanie komuś, kto przyjechałby mercedesem.

– Tak.

– W takim razie pojedziemy moim – odparła, prowadząc go do czarnego BMW M3.

– Teraz pani mnie zaskoczyła.

– Tak? A czemu? – zapytała wyraźnie zadowolona.

– Nie sądziłem, że kobieta taka jak pani będzie jeździła samochodem, który ma ponad dwieście koni mechanicznych.

– Ponad dwieście pięćdziesiąt. O, nie zna się pan na murarce, ale rozróżnia pan samochody. – Zadowolona wsadzała kluczyk do stacyjki.

Bruno znalazł się na samochodach bardzo dobrze. Zresztą nie tylko na samochodach. Uwielbiał wszystko, co miało silnik: samochody, samoloty, motocykle. Samochód Land Lady był najmocniejszą wersją tego auta i Bruno naprawdę dziwił się, że nie jeździ nim opalony miłośnik siłowni, ale stara lampucera. Gdyby

tak bardzo nie kochał swojego garba i miał nieco więcej pieniędzy, z chęcią kupiłby właśnie taki samochód.

– Należało do drugiego męża.

– Dobre auto.

– Trochę za dużo pali. Ale mąż bardzo je lubił. Teraz ja je mam.

We wnętrzu wyraźnie było widać, kto jest właścicielem samochodu. Wszędzie, w szczególności na tylnej kanapie, było pełno sierści, zapewne kundla onanisty. Wtarte w welurowe dywaniki błoto czerniało na podłodze. Pety z popielniczki wysypywały się do schowka obok. Miejsce, gdzie powinna znajdować się zapalniczka, ziało szcerbą, a tapicerkę pokrywał drobniutki pył, prawdopodobnie od strzepywania popiołu przez okno.

Kiedy ruszyli, aż go zabolalo – poczuł od razu, że auto jest katowane. Bieg wbijała ze zgrzytem, bo w butach ze zbyt sporym obcasem nie mogła wciskać sprzęgła do końca. Robiła to zbyt rzadko, więc albo jechała na przesadnie wysokich obrotach i na za niskim biegu, albo na zbyt niskich i zbyt wysokim biegu.

– Powiem panu tak – zaczęła – mieszkanie nadaje się właściwie do remontu.

– Rozumiem – odpowiedział, czekając na dalsze wywody.

– Jest tam oczywiście prąd i kanalizacja, ale ciepła woda leci tylko wtedy, kiedy zagrzeje ją sobie pan w bojlerze.

– A ogrzewanie?

– Kafłowy piec, taki wysoki, wie pan? – zapytała, nie oczekując odpowiedzi.

– A gdzie można trzymać drewno i węgiel?

– Jest piwnica. Mam tam trochę gratów, ale miejsce na tonę węgla i troszkę drewna na pewno się znajdzie.

– A jak z czynszem?

– Interesowałaby mnie płatność osobista, u mnie do piętnastego każdego miesiąca – rzekła, zerkając chytrze pod pozorem uśmiechu.

Zaparkowała niezręcznie jednym kołem na chodniku i kiedy wysiadł, nie mógł patrzeć na tak zaparkowany samochód.

– A ile?

– Siedemset złotych plus to, ile pan zużyje wody i prądu.

– Są liczniki?

– Są.

– Rozumiem – odparł. Mógł sobie na taką kwotę pozwolić.

Stali przed czteropiętrową kamienicą. Przed domem rosły dwie lipy, które jak ocenił, mogły być posadzone w tym samym czasie, kiedy zbudowano budynek. Weszli na ostatnie piętro drewnianymi schodami, które świetnie sprawdziłyby się w razie pożaru jako detal, który zabija. Na piątej kondygnacji nie było już nic więcej prócz strychu po prawej stronie i mieszkania do wynajęcia po lewej.

– Wynajem na przynajmniej rok – powiedziała, siłując się z zamkiem w drzwiach.

– Jest tu telefon?

– A tak, jest. Zapomniałam. Tylko że odłączony. Może pan odbierać rozmowy przychodzące, chyba że zdecyduje się pan, to uruchomimy go na stałe.

Wreszcie weszli. Pierwsze, co przyszło mu na myśl w tym mieszkaniu, to światło. Było bardzo jasno. Okna nisko osadzone nad podłogą z desek rzucały do wnętrza ogromne ilości światła.

– Kto tutaj mieszkał poprzednio?

– A, wie pan, taka jedna artystka, puszczańska. Przeprowadziła się do Krakowa, bo tutaj, jak mówiła, nie miała perspektyw artystycznych. Interesowałyby mnie również kaucja.

– Ile?

– Tysiąc – odparła, błyskając oczkami lichwiarki. – Ale oczywiście do zwrotu, jak się pan będzie wyprawdzał – dodała uspokajająco.

– Oczywiście – mruknął. – Biorę.

– Co?

– Biorę to mieszkanie, podoba mi się.

– Tak od razu? – zapytała zdziwiona. – Nawet się pan dobrze nie rozejrzył.

– Rozejrzałem się wystarczająco, odpowiada mi – odrzekł, patrząc przez okno.

– Więc bardzo dobrze. – Zatarła ręce zadowolona.

Kiedy po raz pierwszy wszedł sam do tego mieszkania, dochodziła dwudziesta. Składało się z centralnego, dużego pokoju z dwiema pochyłymi przeciwległymi ścianami. Sufit przy ścianach podpierały trzy

grube jak pnie drzew drewniane filary. Strop i podłogę wykonano z desek. Mniej więcej w 1/3 pokoju podłoga unosiła się na wysokość dwóch schodków i na podwyższeniu zorganizowane było miejsce na kuchnię oraz łazienkę. Z prawej strony, od wschodu, dodatkowe oświetlenie dawało okno dachowe. Wpadające przez nie światło wypełniało kuchenne szafki i zlew z nierdzewnej stali. Pomiędzy kuchnią a pokojem ustawiony był niewielki stolik z uciętymi nogami. Ściany, poza skośnymi, były nieotynkowanym murem z cegieł. Tylko komin pokryto tynkiem. Ustawiony dokładnie w środku całego poddasza optycznie dzielił przestrzeń na dwie części.

Łazienka wyposażona w białą wannę, którą, o dziwo, wmurowano w podłogę, stała na podwyższeniu. Brakowało umywalki, ale za to było lustro. Kiedy mył ręce, słyszał gruchające nad głową gołębie. Dochodziło do jego uszu także ciche skrzypienie desek, gdy chodził. Podobało mu się tutaj. Nie widział jej. Wiedział, że tutaj może zapomnieć o Malwinie.

Tamtego dnia spędził ostatni wieczór w swoim starym mieszkaniu, gdzie z kątów wyzierała jeszcze Malwina. Następnego dnia rozmówił się z szefem, pożyczł dostawczaka i w kilka godzin się spakował.

Plakał, wybierając przedmioty do zabrania. Jej rzeczy odkładał na bok. Żelazko, kosmetyki, książki i zdjęcia. Chciał mieć to już za sobą. Potem wszystko przewiózł do nowego mieszkania.

Kamienica, w której zamieszkał, była ostatnią na tej ulicy. Ulica wznosiła się stopniowo i dom, w którym przyszło mu mieszkać, stał w jej najwyższym miejscu. Dalej był tylko park i zoo. Z okna, kiedy był tu z właścicielką, zobaczył właśnie ten widok. Zauroczył go i dlatego tak szybko się zgodził.

Zabrał się do najcięższej pracy. Musiał wszystko wnieść na piąte piętro. Zaczął od najlżejszych rzeczy. Spakowane wcześniej w foliowe torby wnosił, dopóki na rękach nie pojawiły się nitki napuchniętych żył. Sąsiedzi zerkali z zainteresowaniem.

Najtrudniejsze dopiero go czekało. Z pralką nie było jeszcze tak źle. Starego, wirnikowego świdnika przeniósł bez większych problemów z dwoma odpoczynkami na trzecim i czwartym półpiętrze. Gorzej z lodówką. Na drugim półpiętrze opadł prawie z sił, mimo że był silny fizycznie.

Odpoczywając, niemal zupełnie wyczerpany, zrozumiał, że popełnił ogromny błąd. Powinien był najpierw wnieść lodówkę i pralkę, potem dopiero resztę. Przeocenił swoje możliwości. Wprawdzie był wysportowany i rzadko ktoś mógł mierzyć się z nim na pompki – bo od zrobienia stu bez odpoczynku zaczynał każdy dzień – ale lodówce musiał przyznać pierwszeństwo. Patrząc na nieszczęsny sprzęt, siedział na klatce spocony, pokonany i zmęczony. Po półgodzinnym odpoczynku, odpoczywając z lodówką na poręczy, wreszcie dokończył przeprowadzkę w morderczym wysiłku. Pod kominem położył materac i tam

postanowił spać. Położył się i zaraz zasnął. Tak spędził pierwszą noc w swoim nowym lokum.

6.

Beatka stała przed lustrem i czesała piaskowe włosy. Nie lubiła tej czynności. Czesząc się, myślała o nim. Bruno był dla niej literkami, ale strasznie ją te literki interesowały. Musi dzisiaj zadać mu wiele pytań. W autobusie ułoży listę rzeczy, o które go spyta. Popatrzyła na zegarek i natychmiast się zdenerwowała.

Już siódma trzydzieści, a ja jeszcze w pidżamie – pomyślała, odkładając szczotkę. Umyła szybko zęby i się ubrała. Zmieniała koncepcję wyglądu trzykrotnie, co zaowocowało, rzecz jasna, bezlitosną zmianą na tarczy zegarka. Zrobiła makijaż. Malując usta, uświadomiła sobie, że spóźnia się przez to, że chce mu się podobać. Chryste, nawet nie będzie mnie widział, a ja o czymś takim pomyślałam! – dotarło do niej.

Gdy usiadła w autobusie, miała dwadzieścia minut na rozmyślania. Postanowiła możliwie najlepiej wykorzystać ten czas. Po pierwsze i najważniejsze uznała, że będąc pracownikami współpracujących firm, mają cały czas okazje do kontaktów. Bez wątpienia kiedyś się spotkają w prawdziwym świecie. Najlepiej będzie, jeśli od razu, na samym początku tej znajomości, będą wiedzieli, jak wyglądają. Dlatego prześle mu zdjęcie, jego również o to poprosi. Musi też dowiedzieć się wielu rzeczy o nim. Choćby tego, czy ma dziewczynę, a jeśli

nie, to dlaczego, a jeśli ma – myślała – to kim ona jest i jak się poznali. Choć prawdę mówiąc, wolałaby – sama nie wie czemu – aby dziewczyny nie miał. Musi też wiedzieć, gdzie mieszka i jak to się stało, że zaczął pracować dla Arka. Interesowało ją również, jaką skończył szkołę i czym się pasjonuje.

Przekręcając klucz w zamku biurowych drzwi, nie mogła się doczekać, kiedy włączy komputer. Poczula radosne podniecenie. Pojawił się pulpit Windowsa XP, a słoneczko GG zapaliło się na żółto. Weszła w kontakty. Jego słoneczko było smutnie czerwone. Zdziwiło ją to. Po chwili się zasępiła. Może się spóźni?

Rozpoczęła pracę. Nie pojawił się tego dnia. Napisała do niego dwie wiadomości. Nie chciała, ale nie mogła się powstrzymać.

– Puk, puk... Brunonku, jesteś tam? – napisała, ale odpowiedzi nie otrzymała. Pisała z Magdą i ze Skwarciem.

– Brunonku, co się z Tobą dzisiaj stało? – Pod koniec dnia postanowiła napisać jeszcze raz. – Mam nadzieję, że nie jesteś chory. W każdym razie życzę Ci miłego dnia. – I dołączyła graficzne słoneczko. Nie odpowiedział.

Kiedy wracała zmęczona, myślała o kąpieli i położeniu się do łóżka. W myślach obiecywała sobie, że dopisze coś jeszcze w swojej pracy magisterskiej. Zostały jej niecałe trzy miesiące, a nic ciągle nie miała. Po powrocie położyła się jednak do łóżka, zasnęła przy książce. Nic nie napisała.

7.

Rankiem zadzwoniła Malwina. Czyli od rana zepsuty cały dzień – pomyślał. Rozstania są takie trudne.

– Wyprowadziłem się.

– Zabrałeś swoje rzeczy?

– Tak. Zostawiłem twoje. Do końca miesiąca mogą tam jeszcze być. Ale musisz je wziąć.

– Wezmę, nie martw się.

– Nie martwię się.

– Przestań, nie możesz normalnie rozmawiać?

– Normalnie mówię, to tobie coś nie pasuje.

– Przestań.

Wyraźnie nie mogli się porozumieć. Zwyczajnie nie mogli się ze sobą dogadać, chociaż nie tak dawno było wszystko w porządku – myślał. Oszukiwała go. Rozmawiał z Bullem przedwczoraj. Ten przyznał, że widział ją z Angolem i bynajmniej nie zachowywali się jak kumple.

Bruno coś podejrzewał. Nie miał dowodów. Ale kiedy Bull to potwierdził, postanowił wejść na jej skrzynkę e-mail. Znał oczywiście adres i hasło, bo sam tę skrzynkę kiedyś założył. Ona zresztą znała i jego hasła, byli przecież parą przez prawie cztery lata. Najpierw otworzył folder z otrzymanymi wiadomościami. Wśród reklam Durexu, których nie wiadomo czemu nigdy nie kasowała, były cztery e-maile od niego. From: Adam Sklarksey (adamsklarksey@yahoo.co.uk).

A jednak. Poczul, że jest mu jeszcze bardziej przykro, ale jednocześnie lżej. Miał teraz pewność.

Dear Malvina!

I know you don't believe me but always...

Nie musiał czytać dalej. I nie czytał. Zamknął skrzynkę, otworzył swoją i natychmiast zmienił hasło. Bull miał rację.

– Oszukiwałaś mnie.

– Co?

– Byłaś z Adamem.

– Nieprawda. Jestem z Adamem, ale kiedy byłam z tobą, nie spotykaliśmy się. Tylko w pracy.

– Tylko w pracy? – zapytał, zatruwając rozmowę morzem sarkazmu.

Otworzyła usta, by coś odpowiedzieć, ale słowa uwięzły jej w gardle. Przypomniawszy sobie, jak wychodziła wieczorami z Agatką i Kasią... do Adama.

– Powiedziałaś, że bym nie pytał. Teraz wiem, o co ci chodziło.

– Przestań, proszę.

Zamilkli. Miała rację, to nic nie da – pomyślał. Musi zakończyć wszystkie wspólne sprawy, aby jak najszybciej o niej zapomnieć i na nowo ułożyć sobie życie.

– Masz rację – zaczął. – Musimy się jeszcze spotkać.

– Nie mam czym przetransportować moich rzeczy.

– A masz gdzie je trzymać? – zapytał, bo nie wiedział, dokąd właściwie odeszła i gdzie sypiała.

To, że mówiła o koleżance, nie musiało być prawdą i pewnie nie było. Zresztą rozumiał, że była najbliższą w jego życiu osobą, która oszukiwała go i okłamywała.

– Mam.

– Pomogę ci, przewieziemy je w garbim. Jak będzie trzeba, to pojedziemy dwa albo trzy razy.

– Dziękuję.

– Umówmy się na jutro.

– Nie mogę jutro, jestem umówiona.

Ciekawe z kim – pomyślał. Pewnie z tym cholernym Anglikiem.

– Nie umówiłam się z Adamem, tylko z Agatką, jeśli cię to interesuje. – Zdawała się czytać w jego myślach.

– Nie interesuje mnie to. Albo inaczej: nie interesują mnie twoje kłamstwa.

– Przestań. Mówiłam ci, że nie spotykam się z nim.

– Nie wierzę w twoje słowa. Nie wierzę ci zresztą w ogóle. Nie mamy o czym gadać. Załatwmy wszystko jak najszybciej i zapomnijmy o sobie.

– Zapomnijmy? Ja chciałabym się z tobą spotykać.

– Spotykać? Malwik, wiesz co? Przestań już. Zadzwoń albo wyślij SMS-a, kiedy będziesz mogła, tylko jak najszybciej.

– Obiecuję.

Spoglądając na gasnący wyświetlacz telefonu, przypomniał sobie, jak oświetlał komórką klawiaturę jedyne-
nego telefonu publicznego w całym Zieleńcu. Na trze-

cim roku był dziesięć dni na obozie narciarskim. Wydawał wszystkie pieniądze na karty telefoniczne i rozmawiał z nią godzinami – zawsze po dwudziestej drugiej, bo taniej w taryfie nocnej, i stojąc na kilku-stopniowym mrozie. Teraz nie potrafią się ze sobą pożegnać.

Był wtedy szaleńczo zakochany. Kilka dni przed wyjazdem na ten cholerny obóz spędzili ze sobą pierwszą noc. Styczeń niósł odgłosy miasta, a oni bali się, że poniesie odgłosy ich namiętności. Szczęśliwym trafem, kiedy ich ciała splotły się w miłosnym uścisku, poranną ciszę w mieście zdominował odgłos strażackich syren, karetki czy też policji. Potem musiał jechać. Był to koszmar tęsknoty za nią.

Dziś wsiadł do auta i ruszył do pracy. Dochodziła 8.45. Wyjeżdżał z miasta. Rozpędził samochód do 90 km/h, kiedy drogę zajechało mu renault clio.

– Niech to szlag! – zaklął.

To był luk i wcale nie uśmiechało mu się hamować, kiedy już puścił w ruch swoją maszynę. Postanowił wyprzedzić bez hamowania. Za lukiem jest przecież długa prosta – pomyślał – nawet „jak coś”, to się zmieszczę.

Odkąd Malwina odeszła i jego życie runęło w gruzach, jeździł bardziej ryzykownie niż dotychczas. Nie umiał tego wytłumaczyć. Z jednej strony uważał, że samobójstwo z powodu miłości to idiotyzm i czuł właściwie niczym niezmacony instynkt samozachowawczy, a jednak ryzykował.

Wysunął się na podwójnej ciągłej linii zza renówki i zobaczył przed sobą prostą, którą doskonale znał, bo jeździł nią codziennie. Nacisnął gaz. Zaraz potem dostrzegł kątem oka radiowóz i zaniechał wyprzedzania w nadziei, że niczego nikt nie widział. Nadzieja zgasła natychmiast, kiedy na drogę wyszedł policjant i zatrzymał go.

– To był bardzo niebezpieczny manewr, panie kierowco.

– Tak, wiem, panie władzo – odparł zrezygnowany i nie dość, że podminowany rozmową z Malwiną, to jeszcze z mandatem, którego mógł się w tej sytuacji spodziewać.

Jak jeszcze zobaczy te nieszczęsne opony, to zabierze dowód rejestracyjny i wyśle na przegląd techniczny – analizował. Będzie musiał zapłacić nie tylko za mandat, lecz także za koszty przeglądu – myślał – a przy tej przeprowadzce trochę już wydał i był prawie całkiem splukany. Do tego spóźni się jeszcze do pracy.

– Proszę dowód rejestracyjny, prawo jazdy i dowód ubezpieczenia OC. – Zimnym głosem poprosił policjant.

Z papierami w dłoni obejrzał dokładnie przód samochodu, obszedł go z tyłu i poszedł do radiowozu.

– Panie Brunonie! – wrzasnął po chwili. – Proszę do mnie! Podszedł.

– To będzie dwieście pięćdziesiąt złotych i cztery punkty karne.

No to nieźle – pomyślał Bruno. Dobrze, że chociaż dowodu nie zabierze.

– Trudno – odparł, wzruszając ramionami.

– Gdzie się pan tak śpieszy, co? Do dziewczyny? – Policjant zaśmiał się cicho.

– No właśnie nie. Odwrotnie, dwa tygodnie temu odeszła i przeprowadzkę mam. No i teraz się śpieszę do pracy.

– Aha. – Glina pokiwał głową, dając znak, aby mówić.

– I wie pan, panie władzo, kierowca, którego chciałem wyprzedzić – Bruno kontynuował wyjaśnienia – włączając się do ruchu, zajechał mi drogę, więc albo mogłem hamować, albo zobaczyć, czy jest pusto. Byłem rozpędzony, a staruszek – wskazał garbusa – nie lubi niepotrzebnie hamować i rozpędzać się znowu. No i dalej to pan władza sam już widział...

– Widziałem. Przecież przez takie coś może się pan zabić.

Nie odpowiedział. Policjant miał rację. Ale nie chciał już mówić o całej reszcie. Policjant patrzył chwilę i zagadnął do drugiego, który zupełnie się nimi nie interesował.

– Tadek, przejdź się, co?

Drugi policjant bez słowa przeszedł parę kroków z rękami w kieszeniach. Ze źdźbłem trawy w ustach bezmyślnie patrzył na przejeżdżające samochody.

– Myśli pan, że da się coś z tym zrobić?

– To przecież od pana zależy.

– I co teraz będzie?

– Nic. Co ma być? Przecież nie wsiądę i nie ucieknę panu, tylko co pan wypisze, to będzie – odpowiedział zrezygnowanym tonem.

Jeśli ten dzień tak się zaczyna i tak ma cały wyglądać, to najpewniej zginie do wieczora – Bruno pomyślał smutno.

– Ile byliście razem?

– Prawie cztery lata.

– Poszła do kogoś?

– Na początku myślałem, że nie, ale teraz wiem, że tak. Dowiedziałem się właśnie dzisiaj.

– Nie martw się. Nie martw się, mówię ci – pocieszał mundurowy. – Jak poszła, to krzyż jej na drogę, tego kwiatu jest pół świata... Pamiętaj! A teraz jedź ostrożniej. – Niepostrzeżenie przechodząc z formy „pan” na „ty”, policjant zmienił zachowanie.

Wręczył mandat i dokumenty. Bruno przeczytał na skrawku papieru: „Przekraczanie jezdni w miejscu niedozwolonym. Pięćdziesiąt złotych”.

– Jak byś się klócił, dostałbyś tyle, ile ci się należy. Jedź.

Policjant uśmiechnął się i mrugnął porozumiewawczo.

– Dziękuję, do widzenia.

Ruszając, widział jeszcze, jak policjant patrzy, a jemu od razu poprawił się humor. Przekręcił głośniej radio. Zaśmiał się do siebie i pędził do biura ostrożniej

i przepisowo. Nikt nie zauważył spóźnienia. Rzadko zdarzało się, aby szef przychodził do biura wcześniej.

Włączył radio, komputer i usiadł przed monitorem. Kiedy system się otworzył, dostał dwie wiadomości z ubiegłego dnia. Przeczytał i się uśmiechnął. Docho-
dziła 9.25. Od prawie pół godziny powinien być w
biurze. Ona pewnie już była w swoim – pomyślał, wy-
stukując wiadomość.

8.

Nagle słoneczko się zaświeciło. Beatka natychmiast to dostrzegła i bardzo się ucieszyła.

– Witaj – przeczytała.

Po chwili przesłał jeszcze graficznego kwiatuszka. Zastanowiła się, co napisać. O co zapytać. Wzięła głą-
boki oddech i w tej samej chwili nadeszła nowa wia-
domość.

– Wyobraź sobie, że przed chwilą dostałem mandat i między innymi dlatego się spóźniłem.

– Za co?

– Za próbę wyprzedzania na podwójnej ciągłej.

– Ile zapłaciłeś?

– Pięćdziesiąt złotych.

– Dlaczego tak mało?

– Bo policjant wpisał do mandatu, że przekracza-
łem jezdnię w niedozwolonym miejscu.

– Daleś mu w łapę?

– Nie. Nie pyskowałem.

– No to Ci się udało.

– Tak, myślałem, że ten dzień już od rana mnie wykończy.

– Rozumiem. Ale, właśnie... Dlaczego „między innymi”?

Ich wirtualna rozmowa na chwilę zawisła w powietrzu. Pomyślała, że znów Neostrada zaczyna szwankować. Wyprowadziło ją to z równowagi.

– Musiałem wykonać bardzo nieprzyjemny telefon – odpowiedział, wzbudzając jej ciekawość.

– Rozumiem.

Postanowiła nie pytać. Jeśli zechce, sam wszystko powie – podjęła postanowienie.

– Byłeś wczoraj w pracy? – zapytała, taktycznie zmieniając temat.

– Byłem w domu.

– Co robileś?

– Przeprowadzałem się.

– Zmieniasz mieszkanie?

– Tak.

– A gdzie wcześniej mieszkałeś, tzn. gdzie było twoje stare mieszkanie?

– Na Chabrach.

– A nowe?

– Na Wyspie.

– No to chyba fajnie, nie? Czy nie? – zapytała niepewnie.

– Fajnie. Na pewno fajnie. Podoba mi się.

– To cieszę się bardzo, Brunonku – odparła, myśląc, że dlatego nie było go cały dzień w pracy i nie odpowiadał na wiadomości.

– Czekaj, na chwilę muszę przerwać, bo Arek idzie.

– OK – odpowiedziała szybko.

Po kilkunastu minutach znów się odezwał:

– Poszedł.

– To dobrze.

– Nie lubisz Arka? – zapytał ją wreszcie o coś.

– Nie, skądże znowu... Wprost przeciwnie. Bardzo go lubię. Spotykamy się czasem. Jest moim bardzo dobrym kolegą. Nawet prosił mnie kiedyś o rękę!

– O co?

– Chciał, abym została jego żoną ;-)

– A... I nie zgodziłaś się?

– Zgodziłam.

– Co?

– Żartowałam, głuptasie... Pewnie, że nie!

– O ty niedobra... :-) Więc mój szef jest twoim kolegą. Fajnie!

– Czemu?

– Bo w razie czego będziesz mnie bronić.

– Masz to jak w banku.

– Super. Dzięki – odpowiedział z emotikonem czerwonego jabłuszka.

– Sprytny jesteś.

– Tak? A skąd ta myśl?

– Wykorzystujesz mnie!

– Ja? Skądże...

– Wykorzystujesz, zanim jeszcze mnie zobaczyłeś!
Niezły z siebie żigolak.

– Dopiero mogę Cię wykorzystać.

– A jak? Chciałabym wiedzieć...

– Porozmawiamy, jak wydorosłejesz, Kwiatuszku :-)

– Mógłbyś mi przesłać swoje zdjęcie?

– Chcesz wiedzieć, jak wyglądam? – zapytał zdziwiony.

– Tak, chciałabym... W internecie go nie opublikuję, nie bój się! Prześle Ci moje, jeśli chcesz. Zanim się spotkamy, będziemy już wiedzieć, jak wyglądamy.

– Skąd wiesz, że się ze sobą kiedyś spotkamy? – zapytał zirytowany jej pewnością siebie.

– To oczywiste. Przecież pracujemy w firmach, które współpracują ze sobą. Muszę powiedzieć Arkowi, że powinien nas poznać ze sobą, abyśmy wydajniej pracowali :-)

– Koniecznie. – Rozbawiła go tym pomysłem. – Nie jestem tylko pewien, czy mu się ten pomysł spodoba w odniesieniu do jego propozycji matrymonialnych.

– Coś wymyślę.

– Dobrze. Niech tak będzie. Ale dzisiaj nie mam zdjęcia. Mogę je mieć dopiero jutro.

– Poczekam – odparła.

Po czym niespodziewanie przesłała kolorowe zdjęcie, z trzema siedzącymi obok siebie przy drinkach dziewczynami. Jedna z nich pokazywała na palcach liczbę dziewięć.

– Tak szybko?

– Niezupełnie – odpowiedziała. – Ciągłe nie wiesz, która z nich to ja, prawda?

Przyjrzał się fotografii bliżej i stwierdził, że jedna z dziewczyn, szatynka siedząca z lewej, zdecydowanie mu nie się podoba. Pomiedzy dziewczynami siedziała drobna blondyneczka z rozpuszczonymi włosami i to ona pokazywała dziewięć palców. Nie lubił blondynek. Właściwie nigdy nie podobał mu się ten typ i nigdy też z żadną z nich nie był związany. Poza dziewczyną, z którą się pierwszy raz w życiu całował. Ale było to bardzo dawno temu.

Najbardziej podobała mu się brunetka z czarnymi jak kruk, krótkimi włosami, z pięknym uśmiechem pełnych i soczystych warg.

– Prawda – odpowiedział po chwili, stukając palcami w klawiaturę.

– I co?

– Z czym?

– Z dziewczynami na zdjęciu, oczywiście.

– Oczywiście... :-)) – odpowiedział. – Niektóre są fajne.

– Niektóre, powiadasz?

– Tak.

– A które?

– Hm... Trudne pytanie, nie wiem, co odpowiedzieć, Moja Droga.

Co za sformułowanie – pomyślała. Zżerała ją ciekawość. Postanowiła zapytać inaczej:

– Brunonku, powiedz: wolisz blondynki czy brunetki?

– Nie lubię blondynek – odparł zgodnie z prawdą bez chwili namysłu.

Wszedł szybko w ustawienia programu, do listy kontaktów. „Beatka (Mała) 22 Opole” – przeczytał – i dalej pseudonim wpisany przez szefa: „Blondi”. Niech to szlag! Czasem mógłbym się zastanowić – przeszło mu przez myśl.

Tego dnia szybko zakończyli rozmowę. Musieli przecież pracować. Było mu trochę głupio, że strzelił taką gafę. Pod koniec dnia jeszcze porozmawiali trochę. Opowiedział o tym, jaką skończył szkołę i jak będzie urządził nowe mieszkanie. Przyznała, że nie idzie jej pisanie pracy magisterskiej. Obiecał jej pomóc. Przesłał kilka adresów stron, na których znalazła odpowiednie materiały.

Wychodząc, myślał o całym dniu. O Nieznajomej, która nie była już tak enigmatyczna jak wcześniej, bo wiedział, jak wygląda – myśli cisnęły się do jego głowy. Zastanawiał się, które zdjęcie przesłać.

Wracając z pracy, zadzwonił do chińskiego baru i zamówił ryż z kurczakiem oraz pieczarkami na wynos. Po kilkunastu minutach odebrał jedzenie i wrócił do domu. Usiadł wzdłuż parapetu, wziął plastikowy widelec i jadł, patrząc za okno. Widział korony lip przed domem, a w oddali park przy Odrze. Na horyzoncie unosił się dym z szerokich kominów elektrowni. Kim ona jest? – myślał.

Po posiłku wyjął z metalowego pudeleczka po cynamonie dwa woreczki foliowe. Skręcił papierosa z tytoniu wymieszanego z marihuaną. Usiadł znów na parapecie, otworzył okno i odkorkował butelkę bułgarskiego wina. Zbliżała się noc. Ptaki kończyły miłosne zawadzenie, a on siedział w pustym mieszkaniu i wsluchiwał się w ich trele. Nie zauważył nawet, że na poddaszu zapadł zmrok. Patrzył na zachodzące purpurowym talerzem słońce. W ustach czuł słodkawy smak wina. Podniósł skręta do ust. W błysku zapalniczki ukazały się łzy sunące w dół policzków pod osłoną narkotyku, alkoholu i samotności.

9.

Malwina odebrała telefon i po nietrwającej nawet minutę rozmowie odłożyła słuchawkę. Dzwonił Adam. Ubrała się szybko i wyszła. Przemykała wąskimi chodnikami pomiędzy spieszącymi się w wiosennym pośpiechu przechodniami. Po rozstaniu z Brunonem miała mnóstwo spraw do załatwienia. Spiesząc się na spotkanie z Adamem, myślała o byłym, jak oficjalnie ochrzcił Brunona jej nowy facet. Miała wyrzuty sumienia. Było jej z nim dobrze przez bardzo długo. Kochała go. Kochała najprawdziwszą miłością. Tą pierwszą i prawdziwą. Tak wiele ich ze sobą łączyło. Ale kiedy pojawił się Adam, nagle wszystko się zmieniło.

Dawał jej to, czego nie miała przy Brunonie. Choć co to było, nie potrafiła powiedzieć. Albo dawał jej wszystko to samo plus coś, czego nie miał Brunon. Zawsze bała się, że to Bruno pierwszy odejdzie, bo przecież tacy są mężczyźni. Że pozna jakąś dziewczynę, która uwiedzie go nowością, tymczasem stało się inaczej. Zupełnie inaczej.

Pracowała z Adamem w szkole, w której uczyła. Na początku wydawał się jej dziwny. Ale nie robiło to na niej wrażenia, bo jak mówił Brunon, w kraju, gdzie wszyscy jeżdżą pod prąd, ludzie muszą być dziwni. Był szczupły. O wiele szczuplejszy od atletycznej budowy Brunona. Wyższy, a jego ciemna skóra, czarne prawie jak węgiel włosy i spojrzenie ciemnobrązowych oczu zawsze przywodziły jej na myśl Heathcliffa z *Wichrowych Wzgórz*.

Kochała tę powieść. Uwielbiała zimny, wietrzny klimat angielskich wrzosowisk. Tego wieczoru, dwa tygodnie po przyjeździe do Polski, po raz pierwszy usłyszała historię Adama i dotknęli się spojrzeniami. Ciepłego październikowego wieczoru spotkali się wraz z innymi nauczycielami z International English School from Opole. Siedzieli i pili piwo.

– Mamy dzisiaj *staff meeting* w Dragonie.

– No i co w związku z tym?

Bruno nie oderwał wzroku od swojej pracy magisterskiej. Nie chciał z nią iść. Twierdził, że czuje się obco w tym towarzystwie.

– Chciałabym pójść. Wszyscy tam będą.

– Wszyscy? Kim są wszyscy?

– No wiesz... Agatka, Kasia... Nowi Anglicy.

Oderwał wzrok od ekranu. Obrócił się na fotelu i wstał. Podszedł i objął ją.

– Uhm, wszyscy, nowi Anglicy?

– No, chodź, będzie fajnie, podszkolisz angielski.

– Mam rozmawiać z tymi dziewczkami bez szkół?

Parsknęła śmiechem. Niemal prosto w twarz. Miał trochę racji, określając tak dziewczyny z wysp, albo jeszcze trafniej – ze Stanów. Wystarczył im tylko trzytygodniowy kurs, aby mogły uczyć u nas angielskiego. Jediną ich kwalifikacją było nawet nie pochodzenie, ale znajomość angielskiego wynikająca z zamieszkiwania w państwie, w którym jest on językiem oficjalnym. Emma pochodziła z Indii i z zawodu była pielęgniarką. Jeff był hydraulikiem, ale za to jednocześnie najczystszej krwi, o ile to możliwe, Anglikiem. Kate, choć mówiła tak niewyraźnie, że prawie nikt jej nie rozumiał, a do tego nie wymawiała głoski „a” i proste *I came from Manchester* brzmiało w jej ustach: *I come from Monchester*, to jednak była wartościowa dla dyrektorki właśnie ze względu na swoje angielskie pochodzenie.

Bruno miał więc rację. Wiedziała to.

– Jak chcesz, odwiozę cię. Potem zadzwoń, to przyjadę po ciebie.

– Co tutaj będziesz sam robił? – zapytała głupio.

Doskonale wiedziała, że będzie pisał pracę magisterską. Była już połowa października, a dotąd napisał niewiele.

– Popiszę trochę.

– Chciałabym, żebyś czasem wybrał się tam ze mną.

– Obiecuję, że pójdę, ale nie dziś, dobrze?

Tego wieczoru poszła więc sama. Nie był to pierwszy taki wieczór. Czasem wychodzili razem, zdecydowanie częściej jednak wychodziła sama. Bruno obdarzył ją bezgranicznym zaufaniem.

– Nie boisz się, że cię zdradzam podczas moich wypraw na te wieczorne spotkania z Agatką? – zapytała kiedyś.

– Nie – odpowiedział bez namysłu. – A zdradzasz?

– No przecież wiadomo, że nie. Ale skąd to wiesz?

– Bo jesteś moim najlepszym przyjacielem. Dopiero potem dziewczyną i kochanką. Przyjaciele nie zdradzają. Zdradzają kochanki, żony i narzeczone. No i ja nie zdradzam ciebie, więc patrzę przez swój pryzmat.

– Ciekawe – odpowiedziała z uśmiechem. – Ja, gdybym była na twoim miejscu, nie ufałabym tak.

– Przecież to działa w dwie strony. – Zaśmiał się.

– Ale ty nie wychodzisz tak często jak ja.

– Mam troszkę inne potrzeby.

To prawda. Kilka spraw ich różniło. Jedną z nich był stosunek do zabawy. Bruno, owszem, był towarzyski, ale tylko wśród bliskich przyjaciół. Spotykali się głównie w mieszkaniach któregoś z nich albo w ich kawalerce. Lubila jego przyjaciół, natomiast on trzymał się raczej daleko od jej znajomych. Nigdy nie aspirował do tego, by bliżej ich poznać, ale nie było pomiędzy nimi na tym tle żadnych konfliktów. Zostawiał

jej wolną rękę, więc wychodziła, kiedy chciała, i wracała, kiedy miała ochotę. Spotykała się z koleżankami w pubach, kawiarniach i dyskotekach. Z nim byłoby inaczej, więc polubiła te babskie wieczory. Spotkanie z Adamem pierwszy raz poza szkołą było dla niej jednym z takich właśnie wolnych spotkań.

Na początku zachowywali się jak na herbatce u Królowej, ale po kilku warkach strong zaczęły się krzyki i gestykulacja w oparach papierosowego dymu. Adam siedział milczący naprzeciwko. Patrzył. Dziwnie się czuła. Cały czas przywodził jej na myśl bohatera *Wichromych Wzgórz*. Po dłuższym czasie zapytała:

– Dlaczego tu przyjechałeś?

– A dlaczego nie?

Uśmiechnęła się. Pomyślała, że jest bardzo przystojny. Niepokojąco przystojny.

– Piękna jesteś, wiesz?

Zrobiło jej się nieswojo, choć skłamałaby, gdyby powiedziała, że nie polechtał jej ten bezpośredni komplement.

– Wszyscy jesteście tacy?

– Jacy? – Odpowiedź była niemal do przewidzenia.

– Tacy bezpośredni. Na wyspach tak jest?

– Nie byłaś nigdy u nas?

Zawstydzila się. Była jedyną nauczycielką w ich szkole, która nie wybrała się nigdy do Wielkiej Brytanii. To było jej marzenie, niespełnione jak dotąd. Chciała tam pojechać z Brunonem. Bardzo, ale jakoś

oboje nie mieli na wyjazd pieniędzy, czasu i nie było to chyba tak ważne dla nich obojga, aby spełnić jej wielkie marzenie.

– Nie, nie byłam – przyznała. – Choć bardzo bym chciała.

Spuściła wzrok, sięgając po drinka, i nim pociągnęła gin wymieszany z tonikiem, usłyszała:

– Tylko ci, którzy mają w swoich żyłach polską krew.

– Nie rozumiem.

Adam popatrzył w jej oczy i po raz pierwszy odczytała jego wzrok. Kobiety potrafią to doskonale. Wiedziała, że patrzy na niego tak samo jak on na nią.

– To bardzo proste. Chcesz wiedzieć? – zapytał, uśmiechając się tajemniczo.

– Jasne!

– W czasie wojny Polacy uciekali na Wyspy, prawda?

– Tak.

– Mój dziadek urodził się tutaj, w wiosce pod Nowym Sączem. Nazywała się Jasienna.

Nazwę miejscowości wypowiedział po polsku, co zaimponowało Malwinie. Oczywiście do prawidłowej wymowy wiele brakowało, ale i tak zabrzmiało całkiem niezle jak na wyspiarza – pomyślała.

– We wrześniu 1939 roku – mówił – był pilotem w 142. eskadrze myśliwskiej i w ciągu pierwszego tygodnia wojny stracił cztery niemieckie samoloty. Ale potem musiał z wszystkimi uciekać do Francji.

– Uczylałam się o tym na historii – wtrąciła się. – Byłoby chyba dobrym z historii, co?

– Nie uczyli nas o tym. Znam to z opowiadań. Was uczą o wiele więcej. Tego, co wiedzą wasi licealiści, u nas uczą dopiero na studiach.

– Przepraszam, przerwałam, opowiadaj. To chyba ciekawa historia – rzekła, po czym przypomniała sobie określenie Brunona: „dziwki bez szkół”. Uśmiechnęła się.

– Z Francji dziadek trafił na Wyspy i wcielili go do polskiego Dywizjonu 306. Tam udało mu się zestrzelić jeszcze trzy samoloty, po czym sam został zestrzelony. Wyskoczył na spadochronie nad kanałem, do morza. Udało się go uratować i trafił do szpitala z zapaleniem płuc. Moja babcia była pielęgniarką. Zakochali się w sobie bez pamięci. Mieli niewiele ponad dwadzieścia lat. Urodziła syna, mojego ojca, i stąd polska krew w moich żyłach.

– Ciekawa historia, naprawdę – powiedziała, wciąż nie mogąc oderwać wzroku od ciemnego spojrzenia.

– Nigdy nie byłem w Polsce, więc kiedy trafiła się okazja, postanowiłem przyjechać.

– Cieszę się, że to zrobiłeś – powiedziała.

Złapała się na tym, że nie powinna była tego mówić, i niemal ugryzła się w język. Adam już otwierał usta, by powiedzieć pewnie coś bezczelnego, ale szybko przerwała:

– Niezwykła historia.

– Wiesz, chyba nie, babcia opowiadała, że wielu ludzi tak się wtedy poznało. Opowiadała o dziadku i Polsce. Wszystko, co wiem o tym kraju, usłyszałem właśnie od niej.

– Była tutaj?

– Nie. Polskę знаła tylko z jego opowieści. Bardzo się cieszyła, kiedy powiedziałem, że tutaj przyjadę.

– Dlaczego?

– Jest już stara i schorowana. Za stara i zbyt chora, aby przyjechać do Polski, choć chciała poznać ten kraj. Mam wrócić do Anglii i wszystko jej opowiedzieć. Mam też odszukać grób dziadka. Nie wiem, jak to zrobić, ale spróbuję.

– Grób? – zapytała, by po chwili zdać sobie sprawę, że jej dziadkowie też już od kilku lat nie żyją. Zapytała więc szybko: – Co się stało z twoim dziadkiem?

– Wrócił jeszcze do samolotu pod koniec wojny w 1945 roku. Kiedy urodził się ojciec, wciąż był pilotem. Został trafiony w ramię i lądował awaryjnie gdzieś w Niemczech, w amerykańskiej strefie okupacyjnej. Był bardzo mocno poparzony i ranny, ale przeżył. Do babci wrócił kilka miesięcy po zakończeniu wojny. Wzięli ślub, bo w czasie wojny nie chcieli tego zrobić. Opowiadała, że dziadek nie chciał, by została wdową.

– Wojna jest straszna!

Malwinę fascynowała ta historia. Nie wiedziała, czy słucha z powodu tego, o czym opowiada, czy tego, jak opowiada.

– Mów dalej – poprosiła.

Wziął duży haust piwa i zaciągnął się papierosem.

– Tyle, na tym historia właściwie się kończy.

– Jak to?

– Kiedy ojciec miał dwa lata, dziadek postanowił wrócić do Polski, by odwiedzić rodzinę i swój kraj. Nie miał żadnych wieści. Zostawił tutaj dwie siostry, ojca i matkę. Chciał wiedzieć chociaż, czy ktoś z nich przeżył wojnę. Na listy z Anglii nikt nie odpowiadał. Pod koniec 1947 roku pojechał do Polski i nigdy już nie wrócił.

– Jak to? – powtórzyła.

– Cała rodzina nie mogła w to uwierzyć. Pojechał i zniknął jak kamień w wodę. Nie było listu ani nawet strzępka wiadomości. Dopiero po kilku latach dowiedzieli się, że wszystkich polskich żołnierzy, którzy byli w czasie wojny w Anglii i potem wrócili do Polski, wasz Secret Service uznał za szpiegów i wtrącił do więzienia.

– Secret Service to u was. Tutaj to było co innego.

– Tak, mówiła, ale nie pamiętam nazwy. Ten wasz język jest taki trudny. – Na te słowa dziewczyna uśmiechnęła się szeroko. – To było chyba SU.

– SU? – Zastanowiła się chwilę. – Urząd Bezpieczeństwa to będzie UB, nie SU, Adamie. W Polsce wszyscy znają ten skrót.

– *Sure, exactly* – odpowiedział, uśmiechając się przepraszająco. – Może zapamiętam.

– Mieliście jeszcze jakieś wieści o dziadku?

– Tak – odpowiedział. – Babcia wyszła ponownie za mąż, ojciec już jako dorosły dowiedział się o wszystkim od przyjaciół dziadka, którzy nie wyjechali. W 1952 roku, jeszcze przed śmiercią wujaszka Joe, dziadek umarł na gruźlicę w jakimś więzieniu na Śląsku.

– Kim był wujaszek Joe, Adamie? – zapytała Malwina z niekłamanym zainteresowaniem.

– Nie wiesz?

– Nie wiem!

– U nas każdy wie, kim jest Wujaszek Joe, tak samo jak u was SU, to znaczy UB.

Oboje się zaśmiali.

– Więc? – Dziewczyna była ciekawa.

– To Stalin.

– Nie wiedziałam! Naprawdę!

Patrzyła i czuła się, jakby była metalem, a on magnesem. Czula przyciąganie, pragnęła rozmawiać i spędzać z nim czas. Zafascynowała ją ta historia, a jeszcze bardziej to, jak ją opowiedział. Doznała wszechogarniającego poczucia, że chciałaby zobaczyć Anglię.

– Adamie, opowiesz mi kiedyś coś jeszcze? Jakąś historię?

– Oczywiście, jeśli tylko zechcesz.

– Nie martw się, zechcę na pewno – odparła, spoglądając na resztę towarzystwa.

Zauważyła wymowne spojrzenie Agatki, które krzyczało:

– No pięknie, Malwek, pięknie, nie poznaję cię!

Skierowała znów wzrok na Adama wpatzonego w bawiących się ludzi. Popijał piwo. Po chwili spojrział z uśmiechem na dziewczynę.

Spędzili ze sobą tego wieczoru jeszcze dużo czasu, a rozmowa wymykała się w stronę najróżniejszych tematów. Powiedziała mu, że chciałaby pojechać do Anglii. Obiecał, że zabierze ją do Londynu w zamian za pomoc w odszukaniu mogiły dziadka. Zgodziła się chętnie. Świetnie się bawili, a czas płynął niespostrzeżenie dla obojga.

Kiedy zerknęła ukradkiem na zegarek, uświadomiła sobie, że jest późno. Przeprosiła Adama i napisała SMS-a do Brunona. Po chwili otrzymała odpowiedź: „Zaraz przyjadę”.

Adam patrzył, kiedy pisała i odczytywała SMS-a. Nie do końca umiała znieść ten wzrok.

– Co się stało, Malwina? – zapytał, pierwszy raz wypowiadając jej imię, po angielsku przeciągając drugą głoskę w typowy anglosaski sposób.

– Muszę za chwilę wracać.

– Naprawdę?

– Niestety.

– Dlaczego?

– Jutro uczę od rana, od bardzo wczesnego rana.

– Rozumiem.

Patrząc na drzwi, dopił piwo i po chwili, unikając jej wzroku, zapytał:

– Może cię odprowadzę do domu? Jest późno i chyba niebezpiecznie wracać samemu.

– Dziękuję, Adamie. Jesteś bardzo miły, ale...

– ...*but*... – podchwycił i przeciągnął, patrząc na nią.

– Przyjedzie po mnie mój chłopak.

– Ach tak – odparł.

Dostrzegła morze zawodu rozlewające się do najdalszych zakątków spojrzenia.

– Szkoda! – odparł, po czym uśmiechnął się kwaśno.

– Zapalmy jeszcze po papierosie. Poczęstujesz mnie, prawda? – zapytała grzecznie, widząc, że spochmurniał, co zresztą tylko ją rozbawiło.

– Jasne, proszę bardzo!

Staff meeting osiągało apogeum, widać było, że większość doskonale się bawi. Prowadzono ożywione dyskusje, przyprawione piwem, którego smak i procenty mile zaskoczyły wycieczki.

Kiedy pojawił się Brunon, Adam obrzucił go ciekawym spojrzeniem. Podchodząc do stolika, Brunon podał mu rękę i ściskając dłoń, przedstawił się po polsku:

– Cześć. Jestem Bruno. Miło cię poznać.

– To jest Adam – odpowiedziała szybko Malwina. – Adam jest z Anglii, kotku.

Brytyjczyk patrzył na parę, nie rozumiejąc, co Bruno powiedział, zrażony tym dziwnym sposobem wita-

nia się mężczyzn w Polsce, do którego nie mógł przywyknąć.

– Aaa, w takim razie przepraszam. Mam na imię Bruno. Miło cię poznać, Adamie. Jak się masz? – Tym razem przemówił do Anglika w jego ojczystym języku, co Adam przyjął ze sporą ulgą.

– Jak się masz? – odpowiedział. – Mnie również miło cię poznać.

– A niech go szlag z takim angielskim! – zwrócił się po polsku do Malwiny i poszedł przywitać się z pozostałymi, którzy akurat znajdowali się w pobliżu.

Adam wskazał na Brunona, pytając:

– Co on powiedział?

Przetłumaczyła, zastanawiając się chwilę, jak odszukać odpowiednik angielskiego „a niech go szlag”. Kiedy wreszcie znalazła właściwe słowa, Adam skrzywił się i z powściągliwością, którą poznała dopiero po jakimś czasie i która jej tak zaimponowała, odparł:

– To nie było zbyt miłe!

Rozśmieszył ją. Dla niej jego angielski był czasem trudny do zrozumienia, ale jako pasjonatka języka i nauczycielka nie miała najmniejszych problemów ze zrozumieniem. Bruno znał ten język jedynie na poziomie podstawowym, dlatego jego reakcja była uzasadniona.

Tak poznała Adama. Teraz wchodziła na schody w kamienicy, w której mieszkał. Zapukała. Pocałował ją na powitanie. Wymienili kilka zdawkowych zdań i wyszli na ulicę. Mijała godzina ósma trzydzieści, a więc

dla nauczycieli takiej jak ich, prywatnej szkoły językowej było wcześniej rano. Szli w milczeniu, mijając przechodniów. Dzień zapowiadał się piękny, pachnący wiosną i była pewna, że dziś będzie bardzo gorąco. Od tamtego wieczoru, kiedy opowiedział jej o sobie i dziadku, rozpoczął się ich romans. Wtedy jeszcze o tym nie wiedziała. Nie wiedział też Adam. Wiedziała tylko Agatka.

– Malwina, co ty robisz? – zapytała zaraz po tym.

– O co pytasz?

– Przecież wiesz! Oszukiwać możesz Brunona, ale nie mnie.

Agatka lubiła jej chłopaka, choć Bruno nie darzył Agaty szczególną sympatią. Dziewczyna wiedziała o tym, mimo to nigdy powiedziała na niego złego słowa. Malwinę od zawsze to zastanawiało.

– Słyszysz mnie?

– Nie wiem, Agata, jestem zagubiona.

– Słuchaj, mała. Powiem ci coś, co ma tę dodatkową zaletę, że jest najprawdziwszą prawdą. Bruno jest dla ciebie stworzony. Ten Anglik cię zauroczył, wiem to. I wiem, że będziecie mieć romans, ale powiem ci to tylko raz. Jeden raz i nigdy więcej tego nie usłyszysz. To, co zrobisz, będzie złe, popelnisz błąd i będziesz płakać przez niego. Zobaczysz.

– Nie wtrącaj się – usłyszała.

– Jesteś jak osioł. Tak samo głupia i tak samo uparta.

Pokłóciły się. Malwina zaczęła się coraz częściej wymykać do Adama pod pretekstem spotkań raz z Agatką, raz z Kasią. Potem wracała i przytulała się, czasem nawet się kochali, ale ciągle w jej głowie był Adam. Stale o nim myślała.

Dzisiaj było inaczej. Nie była już z Brunonem. W pamięci miała nieprzyjemną rozmowę z nim. Gdy powiedziała o niej Adamowi, odrzekł:

– Nie przejmuj się. Niech się frajer pieprzy!

Nie mogła zrozumieć, że zupełnie nie zainteresowało go, co ona czuje. Byli ze sobą już od kilkunastu tygodni. A oficjalnie od trzech. Wcześniej przez prawie trzy miesiące potajemnie spotykała się z nim, ale wciąż była z Brunonem, oklamując go. Postanowiła odejść w tydzień po pierwszej nocy z Adamem. Teraz nie mogła zrozumieć, że to powiedział.

Spojrzała na niego i pierwszy raz dostrzegła, że jest zupełnie inny niż Bruno. Że czasem go nie rozumie. Przestraszyła się.

– Nie mów tak.

– Czemu? – zapytał zdziwiony.

– Bruno to dobry człowiek.

– Bardzo możliwe – przyznał – ale dla mnie jest frajerem.

– Nie jest – zaprotestowała.

Do oczu napłynęły jej łzy. Napływały zawsze, kiedy targaly nią silne emocje. Nie potrafiła ich powstrzymać. Nie był to płacz.

Nagle uświadomiła sobie, że człowiek, od którego odeszła, zrobił dla niej tak wiele dobrego jak nikt inny poza jej rodzicami. Wiedziała, że nigdy jej nie skrzywdził. Rozstała się z nim, bo nie potrafiła już dłużej go okłamywać, a Adam tak ją fascynował, że wybrała właśnie jego.

– Jest, mała, jest. Robiliśmy go przez prawie trzy miesiące w konia, przyprawiając mu rogi tak wielkie, że ledwo zmieściłby je w drzwiach do Saint Paul’s Cathedral. A on, frajer, niczego nie podejrzewał.

– Adam!

– Czego?

– Nie mów tak. Tak nie wolno!

Rozplakała się. Chciała, by ktoś ją przytulił i pogłaskał po głowie. Zerwanie z Brunonem i nowy związek, teraz obdarty z pociągającej skorupki zakazanego owocu, zszargał jej nerwy. Spojrzała na Adama, czekając, że zrobi to, co zrobiłby właśnie Bruno. Tymczasem Adam patrzył przed siebie, wodząc wzrokiem za przechodzącą przez ulicę dziewczyną.

– Nie becz!

Poczuła, że nie widzi w nim chłopaka, który jej tak na początku zaimponował, który ją uwiódł i zauroczył.

10.

Beatka weszła do biura. Natychmiast włączyła komputer. Odkąd pojawił się Bruno, pierwszą czynnością po wejściu do biura nie było, jak wcześniej, zdjęcie

kurtki czy płaszczka, ale zawsze, niemal jak rytuał, naciśnięcie guzika w stacji głównej komputera.

Dzisiaj miała przekonać się, jak też tajemniczy Bruno wygląda. Wreszcie XP wyświetlił pulpit ze wszystkimi ikonami. Słoneczko GG zaświeciło i natychmiast pojawiła się nowa wiadomość. Uśmiechnęła się do swoich myśli.

Zrobiła kawę. Włączyła czajnik, wsypała troszkę więcej niż pół łyżeczki granulatu i odczekała, aż woda się zagotuje. Jej ciało przeszywały dreszcze emocji. Pozwalała tej chwili trwać i napawała się nią. Zalała kawę mlekiem z kartonu i włączyła radio. Z głośników popłynęły nuty jakiejś melodii. Usiadła naprzeciw monitora i kliknęła na żółtą chmurkę. Wyświetliła się wiadomość, a w niej kwiatuszek, jeden z gadu-gadowych emotków. Miała już wziąć łyka, kiedy przyszła kolejna.

– Witaj, Beatko.

– Witaj, Brunonku – odpowiedziała natychmiast.

– Nadal chcesz wiedzieć, jak wyglądam?

– Tak, chciałabym.

– Dobrze.

Kolejna wiadomość zwolniła działanie Windowsa. A więc przesyłał zdjęcie. Podniosła do ust kubek z kawą i wzięła łyk. Kawa smakowała dziś wyjątkowo dobrze. Przymknęła na chwilę oczy. Na twarzy poczuła ciepłe promienie wiosennego słońca. Z radia popłynęły pierwsze nuty jej ulubionej artystki. Otworzyła oczy i zobaczyła czarno-białe zdjęcie mężczyzny

w podkoszulku. Miał krótkie włosy, patrzył wprost na nią i doskonale widziała jego oczy. Był w nich smutek. Nie wiedziała czemu, ale wszystko na tym zdjęciu było smutne. Bruno się nie uśmiechał. Pod zdjęciem po chwili pojawiła się wiadomość.

– Oto ja!

– No, no, zaskoczyłeś mnie – napisała zgodnie z prawdą.

– Jak to „zaskoczyłem”? Nie rozumiem i żądam wyjaśnień!

– Jesteś przystojnym mężczyzną. Miałam nadzieję, że nie będziesz przystojny – skłamała.

Bardzo chciała, aby był przystojny. Liczyła na to. Bała się nawet, że okaże się facetem, który jej się kompletnie nie spodoba. Ale przecież nie mogła się do tego przyznać.

– Miło, że tak piszesz, ale doskonale wiem, jak wyglądam.

– Nie bądź taki skromny.

– Daleko mi do Brada Pitta.

– :-)

– Zresztą facet nie musi być ładny. Wystarczy, że jest mądry ;-)

Rozbawił ją. Patrzyła w oczy ze zdjęcia jak zahipnotyzowana. Im dłużej na nie spoglądała, tym smutniejsze się jej wydawały.

– No, nie powiem. Mądry jesteś, owszem, a do tego jaki skromny ;-)

– Tak – odpowiedział z uśmiechem.

– Dobrze, Mój Drogi – rozpoczęła z innej beczki. – Teraz chyba przyszła kolej na mnie. Nie ukrywam, że facet na zdjęciu, które podesłałeś, jest atrakcyjny i mi się podoba.

W istocie nie do końca przypadł jej do gustu. Okazał się zupełnie zwykły. Nie brakowało mu niczego, jednak nie zwróciłaby na niego uwagi na ulicy, dyskotecie czy w pubie.

Teraz przyszła kolej na nią i czuła lekki niepokój. Bruno nie wiedział, jak wygląda. Wprawdzie doskonale zdawała sobie sprawę, że jest atrakcyjną kobietą, i nie spotkała się dotąd z mężczyzną, który potrafiłby oprzeć się jej wdziękowi, ale któż wie, czy ten patrzący smutno mężczyzna nie jest właśnie tym pierwszym? Tym bardziej że nie lubił blondynek.

– Chcesz wiedzieć, jak wyglądam?

– Hm, jak to powiedzieć... – zaczął, zbijając ją zupełnie z tropu.

– Jak to? Albo chcesz, albo nie, nie rozumiem.

– Pytanie jest zadane nieprawidłowo, Moja Droga.

– Nadal nie rozumiem.

– Powinnaś zapytać raczej: czy mi się podobasz?

– Brunonku! Nic nie rozumiem!

– Przepraszam, że powiedziałem, że nie lubię blondynek.

– Co?

– Powinienem był powiedzieć, że bardziej podobają mi się brunetki.

– Skąd wiesz, że...

– Nie pytaj, to nieistotne – uciął. – Jesteś bardzo, bardzo ładna.

– Dziękuję.

– Lubisz dziewiątkę?

Zastanowiła się chwilę. A, na zdjęciu pokazuje „dziewięć” na palcach.

– Tak, to jedna z moich ulubionych liczb.

– Jedna z ulubionych?

– Tak.

– A jakie jeszcze lubisz?

– Skoro dziewiątka, to i szóstka oczywiście.

– Oczywiście? Zależy dla kogo. Dla mnie nie jest to takie oczywiste.

– Bo popatrz, Bruno – wyjaśniała. – Szóstka jest podobna do dziewiątki, prawda?

– Racja – uśmiechnął się. – Są rzeczywiście bardzo podobne, wszystko zależy od punktu widzenia.

– Zgadza się, Bruno.

– Niech zatem zgadnę: czy 69, Moja Droga, jest Twoją ulubioną?

– Tak.

– Wiedziałem!

– Bruno...

– Tak?

– Ale ja nie mówiłam o liczbie :-)

11.

Spotkał się z nią. Otworzyli drzwi do ich wspólnego jeszcze do niedawna mieszkania. Malwina nie była tutaj od kilku dni. Zobaczyła puste ściany i swoje rzeczy.

– Wywiozłeś już wszystko?

– Tak.

Poczuła teraz wszystko tak bardzo jak nigdy.

– Zalutwmy to jak najszybciej – rzekł i zaczął przenosić pozostałe pakunki do samochodu.

Z oczy popłynęły jej łzy. Przytulił ją czule i pocałował w czoło.

– Nie płacz – szepnął.

Pomogła mu znosić jej sprzęty. Czowała, że jest suką. Oszukiwała go przez cały czas, kiedy spotykała się z Adamem, i oszukuje go nadal. Prosiła, aby przewiózł to, co miała, do mieszkania Agatki, bo przecież nie mogła przewieźć do Adama, u którego teraz mieszkała. Kiedy pakowali to, co pozostało, zobaczyła pudełko ze zdjęciami. Uświadomiła sobie, że oddzielił wszystkie fotografie, na których z nim była, od pozostałych.

– Weź wszystkie, nie chcę ich.

– Ja też ich nie chcę – odparła, choć w duszy cierpiała i z każdą chwilą miała coraz większe wątpliwości.

– Mamy je wyrzucić?

– Nie, nie wyrzucajmy ich. Wezmę je.

Nie wiedziała, dlaczego chciała je wziąć. Zapisał na setkach sztuk papieru fotograficznego ich związek.

Fotografia była jego pasją. Robił im zdjęcia przy każdej okazji. Zapisał na zawsze tyle chwil, tyle miejsc i uczuć, które teraz nie były już dla niego istotne.

Pół godziny później przeprowadzka była już historią. Usiadła z nim na ławce przed domem, w którym spędzili tyle miesięcy, i patrzyli na budynek w milczeniu.

– Poczęstujesz mnie papierosem?

– Jasne, proszę – odparła.

Zapalili i w milczeniu zaciągali się dymem. Po chwili zaczął:

– Wiesz, kiedy byliśmy jeszcze razem, zawsze prosiłem, abys była ze mną szczerą, pamiętasz?

– Pamiętam.

– Teraz jest ten moment.

– Nie umiem ci powiedzieć dlaczego. – Wiedziała, do czego zmierza. – Nie potrafię.

– A on?

– Adam?

– Tak, Adam. Jesteście razem?

Nie chciała go ranić jeszcze bardziej. Nie wiedziała, że kłamstwo zrani mocniej.

– Nie.

– Nie?

Zdziwił się, spoglądając jej w oczy. Uciekła za łzy.

– Nie. Spotykałam się z nim przez jakiś czas po tym, jak odeszłam, ale nie jesteśmy już razem. – Kłamała jak z nut.

– Uhm, a wcześniej?

– Kiedy byliśmy jeszcze razem, tak?

– Tak.

– Już ci mówiłam, Brunonku.

– Nie nazywaj mnie tak, proszę.

– Nie, nie spotykałam się z nim. – Kłamstwo z zadziwiającą łatwością przeszło jej przez gardło. Bruno słuchał w milczeniu.

– Wiesz – odezwał się po chwili – chciałbym, abyś wiedziała, że byłaś moim przyjacielem. Pewnie dlatego teraz tak bardzo boli. Tak cholernie boli.

– Bruno...

– Pozwól dokończyć. – W jego tonie była stanowczość.

– Dobrze, mów.

– Wiem, że mnie okłamywałaś i okłamujesz teraz.

Otworzyła szeroko mokre od łez oczy i usta, aby znaleźć słowa, które go przekonają, ale nim wydusiła z siebie cokolwiek, mówił dalej:

– Popelniłem wiele błędów w naszym związku, wiem to. Zbyt wiele.

– Oboje je popelnilismy, ja też.

– Tak, masz rację. – Wyrzucił niedopalek. Wstał i podszedł do samochodu.

– Bruno, ale ja nadal mam cię w sercu. Jesteś najwspanialszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek znalazłam, i nigdy więcej nikogo takiego nie spotkam.

– Wiesz, zrobiłem ci świństwo – mówił dalej. – Coś, czego nie powinienem. – Patrzyła i nie rozumiała. – I powinienem się wstydzić. Ale nie wstydzę się.

– Robiłeś wszystko dobrze. Bruno, nie odchódź! – Próbowała go zatrzymać, choć nie wiedziała dlaczego.

– Jednym z błędów, które popełniłaś – ciągnął – było pozostawienie starego hasła do skrzynki.

Zatkalo ją. Usłyszała, jak trzasnęły drzwi i silnik zaczyna pracować. Jej głowę przeleciała jak pocisk jedna tylko myśl. E-maile od Adama!

– Bruno!

Opuścił szybę, popatrzył szklistym wzrokiem, po czym wyszeptał:

– Bądź z nim szczęśliwa, Malwek.

– Brunonku, ale ja nie... Ja nie jestem z nim.

Ruszył i po chwili znikł. Nie wiedziała, dokąd pojechał. Została sama na pustym podwórku. Ukryła twarz w dłoniach. Szlochała i lkała. Pierwszy raz od tego dnia, kiedy powiedziała „odchodzę”, poczuła, że popełniła błąd. Patrzyła na drzwi i z każdą sekundą docierało do niej, że straciła coś w życiu bezpowrotnie. Coś, czego nikt nie mógł jej odebrać. W uszach wciąż brzmiały jego słowa:

– Bądź z nim szczęśliwa, Malwek.

W oddali szła kobieta, trzymając kilkuletnią dziewczynkę za rękę. Ta przyglądała się jej. Odwróciła główkę w górę do kobiety i zapytała cienkim głosem:

– Mamusiu, czemu ta pani płacze? Czy ona jest smutna?

Malwina poczuła ogromną, wszechogarniającą samotność. Na balkonie jedna ze staruszek, już bardzo

stara i przy niezupełnie zdrowych zmysłach, uniosła laskę i pogroziła jej.

12.

Miał dziś bardzo pracowity dzień. Od rana cały czas coś się działo. Beatka odezwała się oczywiście zaraz, kiedy przyszedł do biura.

– Dzień dobry, Brunonku.

– Dzień dobry, Moja Droga – odpowiedział.

Po chwili wysłała emotka ze słoneczkiem wyglądającym wesoło zza chmurki.

– Miłego dnia Ci życzę.

– Dziękuję.

– Masz dziś dużo pracy chyba, prawda? Dziś piątek, u was w piątki jest dużo pracy?

– Tak.

– Nie będę Ci więc przeszkadzała.

– Nie przeszkadzasz. Jeśli nie będę mógł Ci odpowiedzieć, nie odpowiem od razu, układ?

– Tak, Brunonku, układ.

– Cieszę się, że się rozumiemy.

– Mogę Cię o coś spytać?

– Pytaj.

– Masz w biurze radio?

Spojrzał na radioodbiornik i odpowiedział zgodnie z prawdą:

– Mam.

– A jakiej stacji słuchasz w tej chwili?

Odpowiadając, spostrzegł, że zbliża się szef.

– Muszę kończyć, Beti, Arek idzie – odparł.

Arek był starszy tylko o trzy lata i Bruno polubił swojego szefa również dlatego, że byli prawie rówieśnikami. Wprawdzie czasem był wybuchowy i często zdarzały się pomiędzy nimi nieporozumienia, ale i tak uważał, że jest dobrym szefem.

Kiedy wszedł, widać było, że miał za sobą ciężki wieczór. Lubił miewać ciężkie wieczory albo – precyzyjniej – ciężkie poranki po intensywnych wieczorach. Patrzył z dziwnym uśmiechem. Po chwili niepewności Bruno zapytał:

– Spieprzyłem coś?

– O nie, nie – obruszył się – skądże!

– No to czemu się tak dziwnie uśmiechasz?

– Uśmiecham się? Skąd, nie, tylko tak... – tłumaczył się nieporadnie.

– No powiedz, o co chodzi!

– Słyszałem, że chętnie pomagasz moim koleżankom pisać prace magisterskie.

W pierwszej chwili nie wiedział, co odpowiedzieć. Zaśmiał się, kiedy przypomniał sobie, że wysyłał Beacie linki do stron, na których mogłaby znaleźć informacje przydatne do swojej pracy dyplomowej.

– A... o to chodzi.

– A tak, o to, o to.

– Tak, wysłałem jej parę stron, niech dziewczę się nie martwi.

– Aha. – Arek mrugnął porozumiewawczo.

– Co?

– Nic, nic. Ja tylko tak, wiesz, pytałem.

– A skąd o tym wiesz? Przeglądałeś archiwum?

– Nie, nie przeglądałem. A to można sprawdzać?

Arek miał doskonały zmysł do interesów, jednak na komputerach znalazł się słabo. Bruno pokazał, jak można sprawdzić historię rozmów, i zanotował w pamięci, że od tej chwili musi zawsze kasować całe archiwum po rozmowie z Beatką. Wprawdzie nie pisali o niczym, co byłoby niestosowne, czy o czymś, co mogłoby jej lub jej zaszkodzić, ale wiadomo, że strzeżonego... i tak dalej.

– A wy się znacie? – Arek drażył temat.

– Nie widziałem jej nigdy.

– Uhm. Dziwne.

– Czemu dziwne?

– Bo opowiadała o tobie, jakbyście się w piaskownicy wychowali.

– Tak, to rzeczywiście dziwne. Chociaż z drugiej strony wirtualną znajomość mierzy się zupełnie innymi jednostkami czasu.

– No to jak się poznaliście? Mówże! – Arek się niecierpliwił.

– Napisała do mnie, jak byłeś w... – przerwał, gdy przypomniał sobie, że ich pierwsza rozmowa jest zapisana. Odnalazł ją i pokazał. Arek przeczytał i z uśmiechem na ustach kontynuował:

– Brunek, a wiesz, że Beatka to bardzo fajna dziewczyna?

– No, mam nadzieję – zażartował. – A skąd wiesz, że się poznaliśmy?

– Zadzwoiła do mnie wczoraj. Wiesz, znamy się dość dobrze. – Znów mrugnął. – Chociaż nie aż tak dobrze jak wy. I wypytywała się o ciebie. Byłem zaskoczony. Mówiła, jaki to jesteś miły i że jej pomagałeś. I takie tam.

– Takie tam?

– No.

Pracował u Arka dopiero kilka tygodni, więc nie znali się jeszcze zbyt dobrze. Ich stosunki można było określić jako przyjazne. Mimo że jeden był podwładnym, a drugi szefem, mogli rozmawiać swobodnie. Często zdarzało się, że dyskutowali na tematy niezwiązane z pracą, jak rówieśnicy.

Tego dnia pracowali jeszcze kilka godzin, po czym Arek wsiadł w mercedesa i pojechał nie wiadomo gdzie i nie wiadomo po co. Szefowie mają swoje prawa. Na godzinę przed zakończeniem dnia pracy Bruno mógł spokojnie porozmawiać z Beatką.

13.

W Pożegnaniu z Afryką panował półmrok. Wnętrze pachniało paloną kawą. Wystrój lokalu zdominowały drewniano-wiklinowe meble i stare, nieużywane od lat sprzęty do parzenia aromatycznego napoju.

Malwina siedziała przy stoliku opodal okna i piła cappuccino. Była jedyną klientką w kawiarence skła-

dającej się z dwóch niewielkich, lecz pięknie oświetlonych naturalnym światłem pomieszczeń. Spojrzała na panią za barem i uśmiechnęły się uprzejmie do siebie. Po chwili dziewczyna serwująca kawę w najróżniejszych konfiguracjach włączyła muzykę. Z głośników cichutko popłynął głos Anity Lipnickiej.

Tak, czasem słowa pasują do sytuacji – Malwina pomyślała. Pisała list do Brunona. Na stoliku miała pióro i kartkę, w połowie już zapisaną. Popatrzyła przez okno na ulicę i ogrzewała twarz w ciepłych promieniach. Ludzie chodzili w jedną i drugą stronę. Szli samotni lub w grupie, szybko, z aktówką pod pachą, albo spokojnie, jakby od niechcienia.

Chciała, aby między nią a Brunonem wszystko się wyklarowało, niezależnie od jej związku z Adamem. Nie chciała oszukiwać, nie chciała też ranić. A wykonanie tego jednocześnie nie było sprawą prostą. Nagle metr od szyby mignęła na sekundę znajoma twarz. To on. Bruno. Przeszedł i nie zauważył jej. Był już obcy. I nie sam.

Chwilę potem kobieta z za sprzętu do parzenia kawy spojrzała na dziewczynę przy oknie z niekłamanym zdziwieniem. Malwina płakała z głową ukrytą w dłoniach, przed drobnymi kawalkami papieru. Łzy roztrzaskiwały się o blat z niedopitą kawą, a Lipnicka ciepłym głosem w duecie z Porterem w głośnikach twierdzili, że nawet jeśli jedno z nich upadnie, drugie je podniesie.

Nigdy cię nie słuchałam – myślała przez łzy. – Nigdy, choć zawsze miałeś rację. I przyznawałam ci ją dopiero, kiedy stało się, jak powiedziałeś. Pamiętam, jak mówiłeś, że musimy być zawsze razem, a szczególnie kiedy jedno z nas ogarną wątpliwości i przyjdą trudne chwile. Przygotowałeś mnie, aby walczyć o naszą miłość, by zwyciężyć trudności, a ja znów cię nie posłuchałam.

Bruno, ja znam cię najlepiej. Jestem twoim przyjacielem, mimo że między nami może nie ma już miłości – myślała. Nigdy nikogo nie kochałam i nie będę kochała bardziej niż ciebie. Jesteś najwspanialszym człowiekiem, jakiego znam. Nigdy nie pozwolę, aby ktokolwiek cię skrzywdził.

14.

Kiedy odpowiedział, jakiej stacji słuchał, podeszła do radioodbiornika i nastawiła falę na identyczną. Milczał przez kilka godzin. Około czwartej po południu odezwał się wreszcie:

– Jestem już wolny.

– Jak to mam rozumieć?

– :-) Jak chcesz, ale chciałem powiedzieć, że skończyłem pracować.

– Rozumiem ;-)

– Co będziesz dziś robił? – zapytała, mając nadzieję, że zaproponuje, aby się wreszcie spotkali. Oczywiście

nie zgodziłaby się, bo na to jeszcze zbyt wcześnie, ale miło byłoby przeczytać takie zaproszenie i odrzucić je.

– Nic. Pójdę szybko spać. Wczoraj miałem bardzo ciężki dzień. Dziś był pracowity, a jutro będzie jeszcze gorzej.

– Tak, tak, pamiętam, musisz pracować w soboty.

– Ale za to mam poniedziałki wolne, co niezmiernie mnie cieszy.

– Dlaczego miałeś wczoraj ciężki dzień?

Zapadła cisza. Nie odpisywał. Zaniepokoiła się troszkę, bo czuła, że nie odpisuje z jakiegoś powodu. Albo nie chce, albo nie wie, co napisać.

– Przepraszam, jeśli zapytałam o coś, o co pytać nie powinnam. – Postanowiła zagrać wariatkę, choć czuła, że jest coś nie tak.

– Nie o to chodzi.

– Więc?

– Nie chcę o tym mówić.

Szlag ją trafił. Co ma oznaczać, że nie chce z nią o czymś mówić?! Wszyscy mężczyźni chcą z nią rozmawiać o wszystkim, a on nie?! Co to ma znaczyć? Nie po to się nim zainteresowała, aby miał przed nią tajemnice.

Pociągał ją tym jeszcze bardziej. Nagle usłyszała w radio piosenkę, którą bardzo lubiła.

– Brunonku, lubisz ten utwór?

– Jaki utwór?

– Ten, który puścili teraz w radio.

– Tak, lubię go bardzo – odparł i przez chwilę milczał. – Zaimponowałaś mi, wiesz? Nie wychwyciłem tego wcześniej. Sprytna jesteś. – Na ekranie pojawiła się następna wiadomość.

– No widzisz, czasem potrafię mile zaskoczyć.

– Potrafisz!

– Brunonku, czy ten wczorajszy dzień, taki ciężki dla Ciebie, miał związek z Twoimi smutnymi oczami ze zdjęcia?

Postanowiła, że musi go złamać. Złamać jego milczenie. Po kilkudziesięciu sekundach odpowiedział, posyłając emotka, wskazującego smutek.

– Tak – dodał.

– Dziękuję, że odpowiedziałeś.

Nie napisał tego dnia nic więcej. Mimo to była zadowolona, bo uchylił jej rąbka tajemnicy. Owszem, chciała więcej i choć dostała tylko namiastkę, wystarczyło. Wiedziała, że nie ma z nią najmniejszych szans, jak każdy mężczyzna. Jednak nie jak każdy, będzie z nią walczył. Czula to. Więc zapowiadało się pasjonujące starcie.

15.

Wrócił do mieszkania i ugotował obiad. Wcześniej zrobił zakupy. Kupił młode ziemniaki, pierś kurczęcia i koper. Przyrządził kotlety, ziemniaki z koperkiem i mizerię. Najadł się i zabrał do dalszego urządzania

mieszkania. Wciąż większość rzeczy leżała spakowana w pudłach i foliowych torbach.

Wypakował książki i je poukładał. To zajęło najwięcej czasu, bo miał ich sporo. Większość z nich wiązała się z jego zainteresowaniami, ale miał też poezję Baczyńskiego czy prozę. Kiedy wyjmował niektóre z nich, do jego głowy cisnęły się wspomnienia. Wziął *Lolite* Vladimira Nabokova i otworzył stronę tytułową. Przeczytał głośno dedykację: „Mojemu najcenniejszemu skarbowi, Malwina. Opole, 22 lipca 2003 roku”.

Odłożył na półkę i wziął inną. „Mojemu najjaśniejszemu słońcu, w dniu urodzin. Malwina. Opole, 19 lutego 2002 roku”.

Po kolei układał jedną za drugą. Obok siebie. Kiedy chwycił ostatnią, otworzył ją i przeczytał: „Brunonkowi, żeby zawsze miał pasje”.

Kiedy odkładał książkę na półkę, spomiędzy jej stron wysypały się zapisane drobnym pismem listy. Zebrał je wszystkie. Usiadł przy piecu, skrzył skrzyta i zapalił. Potem zaciągnąwszy się kilka razy, odpalił po żółkły papier od żaru. Spalił wszystkie, parząc przy tym boleśnie palce.

Porozkładał w mieszkaniu podstawki z kolorowego szkła i rozpalił kilka zapachowych świec. Zgasił światło i miał zamiar się wykapać. Wcześniej postanowił spalić jeszcze jednego papierosa z marihuaną. Usiadł na parapecie i zaciągając się, palił głęboko. Słodkawy zapach tytoniu, narkotyku i topiącego się wosku wypełnił wnętrze cichego poddasza. Poczul się jak u sie-

bie. Poczul, że odnalazł nowe miejsce, ażył. To go uspokajało psychicznie i odprężało.

Kiedy skończył, patrząc przed otwarte okno, zdecydował, że przed snem przejdzie się po pograżonym w ciemnościach mieście. Założył dżinsy i czarną skórzaną marynarkę. Skrył dłonie w kieszeniach i ruszył w miasto. Przeszedł kilkaset metrów i trafił na rynek. Szedł, oglądając kolorowe wystawy księgarń, kiedy zza rogu wyszła trzymająca się za rękę para. Dostrzegł ich na dwie sekundy wcześniej, nim oni jego. Adam i Malwina szli i uśmiechali się do siebie. Zobaczyła go pierwsza i jej uśmiech zgasł jak zdmuchnięta świeca. W chwilę potem dostrzegł go również Adam. Byli od siebie tylko kilka kroków i szli dokładnie naprzeciw. Anglik puścił rękę Malwiny jak piskorz, jakby go nagle oparzyła. Bruno poczul, że teraz ma okazję. Jeszcze trzy kroki i będzie na tyle blisko, by jednym uderzeniem powalić Anglika na trotuar jak kłodę drewna, dając upust wściekłości i rozczarowaniu. Zacisnął pięści w kieszeniach, po czym spojrział na bladą Malwinę. Nie zwolnił kroku ani nie przyspieszył, rozluźnił tylko dłonie i minął ich, patrząc obojętnie przed siebie.

Wracając, po drodze kupił w nocnym paczkę papierosów i mocne piwo w puszcze. Otworzył i zapalił. Na niebie wisiał księżyc w pełni, identyczny jak wtedy, gdy sierpniową nocą spacerowali wśród pachnących skoszonym sianem łąk na wsi u jego rodziców w górach. To było tak dawno temu – myślał – jakby w zupełnie innym wieku, a jednocześnie tak niedawno, jakby

wczoraj. W oczach Brunona odbijał się blask księżyca, ale przybrały one szary, beznamiętny wyraz. Czailo się w nich jeszcze coś, co przestraszyłoby każdego, kto napotkałby go wtedy.

Leżąc już w łóżku, usłyszał cichy dzwonek telefonu oznajmiający wiadomość. Od Malwiny. W niej: „Przepraszam”. Skasował natychmiast i przytulił się do poduszki. Ostatnią myślą tego wieczoru była wizja zmiany numeru.

16.

Malwina, wracając do domu, zrobiła zakupy. Ciągłe myślała o wczorajszym zdarzeniu. Spotkanie Brunona na mieście, choć oczywiście możliwe, było mało prawdopodobne. A mimo to natknęli się na siebie. Tak bardzo żałowała, że ich zobaczył, i jednocześnie tak strasznie zaskoczyła ją reakcja Adama, kiedy puścił jej rękę. Nie spodziewała się tego. Sądziła raczej, że chwyci ją mocniej, aby dodać jej otuchy. Nie mogła tego pojąć. Jak mógł tak postąpić!

Jednocześnie rozmyślała nad zachowaniem eks. Kiedy go zobaczyła, pomyślała, że rzuci się z pięściami na Adama. Tymczasem zachował się zupełnie inaczej. Był obojętny. Tak bardzo obojętny, że aż bolało. O wiele mocniej niż uderzenie w twarz. Bardziej niż policzek, który kilka minut później otrzymała od Adama.

Nigdy wcześniej jej nie uderzył, choć przecież wielokrotnie się klócili i wściekał się na nią. Zrzucała to

wszystko na karb chorobliwej zazdrości, która na początku ich romansu tak bardzo jej imponowała i lechtała kobiecą próżność. Zazdrości, której tak brakowało jej w pełnym zaufaniu Brunona.

Nagle zobaczyła stojącą na przystanku Agatkę. Nie odzywały się do siebie już kilka dni, odkąd się pokłóciły.

– Cześć.

– Cześć – odpowiedziała chłodno Agatka.

– Słuchaj, Agata, przepraszam.

Zrobiło jej się głupio, jednak powiedziała to bez ociągania się, jakby opowiadała o staniku z fiszbinami. Agatka spojrzała zupełnie innym wzrokiem, zaskoczona, zmieszana i chyba zła na siebie, że była tak wściekła na koleżankę. Odparła:

– Daj spokój, było, minęło, przecież wiesz...

Wymawiając ostatni wyraz, dostrzegła mocny makijaż na policzku Malwiny. Zbyt mocny jak na nią – pomyślała.

– Ty... Czekał, czekał, co to? Co masz na policzku?
– zaczęła się dopytywać.

– Nic.

– Jak to nic? – Agatka patrzyła uważnie. Dostrzegła uciekający wzrok przyjaciółki. – Jak nic? – powtórzyła z naciskiem. – Mów!

W jej tonie wyraźnie brzmiał rozkaz. Malwinie zadrzęła warga. Po chwili szepnęła:

– Uderzył mnie.

– Co?

– Też nie mogłam w to uwierzyć.

– Co za skurwiel! – Przyjaciółka nie kryła oburzenia. – Pieprzony Otello!

Nadjechał autobus. Agatka zawahała się chwilę. Miała jeszcze kilka sekund, nim będzie musiała wsiąść.

– Nie mów nikomu.

– No co ty! Zwariowałaś? To, że go zostawiłaś, nie znaczy, że może cię teraz łać. Musimy coś z tym zrobić, wiesz o tym. Patrzcie go, Brunonek! A ja go tak lubiłam.

– To nie on. – Malwina kiwała głową.

– To kto, do kurwy nędzy? – Agatka w mig zrozumiała jej wzrok. – Nie wierzę – odparła po chwili. – Normalnie nie wierzę. Adam?

– Uhm.

– Chodź! Opowiesz mi wszystko z najdrobniejszymi szczegółami.

Potem objęła Malwinę i przytuliła. Ta położyła głowę na jej ramieniu i wybuchła płaczem jak dziecko. Stały na pustym przystanku, jedna szlochała, a drugą targaly najgorsze przeczucia.

Tej nocy nie wróciła do Adama. Spała u koleżanki.

17.

Przebudził się przed ósmą. Wstał od razu. Włączył komputer i odtwarzacz plików MP3. Nastawił czajnik, wyjął mleko i wsypał pół łyżeczki rozpuszczalnej kawy. Potem dosypał jeszcze jedną łyżeczkę inki. Oparł

nogi na łóżku i położył dłonie na podłodze. Zaczął robić pompki.

Odkąd Malwina odeszła, codziennie ćwiczył. Nie wiedział dlaczego i po co. Odreagowywał i zabijał fizycznym bólem ten znacznie dotkliwszy, wewnętrzny. Zostało mu to chyba z lat, kiedy intensywnie trenował. Zaczął od trzydziestu pompek. Dzisiaj, po prawie sześciu tygodniach, robił przynajmniej sto kilkadziesiąt. Aż do drżenia ramion i zupełnego braku siły. Zawsze przy muzyce.

Mieli kiedyś, kiedy byli jeszcze razem, swoją ulubioną piosenkę. Wykonywał ją zespół rockowy, który pokochała jako nastolatka, i aby zrozumieć, o czym śpiewają, zaczęła się uczyć angielskiego. Teraz przy Radiohead katował ciało, by ulżyć sponiewieranej duszy.

Dopiero po trzydziestu kilku pompkach pojawiał się lekki ból w ramionach, dłoniach i mięśniach brzucha. Kiedy zrobił ich pięćdziesiąt, ból przeszywał już prawie całe ciało, obejmując je jak pajęcza nić. Na skórze pojawiały się kropelki potu. Kiedy kończył ostatnią dziesiątkę z setki, jego mięśnie były u kresu wytrzymałości.

Podniósł się z drewnianej podłogi. Zalał kawę wrzątkiem i wszedł pod zimny prysznic. Odkąd zerwała z nim, schudł aż osiem kilogramów. Jego mięśnie, dotąd skryte za warstwą tłuszczu, który zapuścił podczas pracy przy komputerze po bolesnym końcu

kariery sportowej, uwydatniły kształty, a codzienna porcja ćwiczeń siłowych również zrobiła swoje.

Bruno był silnym mężczyzną. Nie był wysoki, ale barczysty. „Zbity w sobie”, jak mawiała jego mama. Kobiety zresztą często zwracały na to uwagę. Zawsze chciał być wyższy, szczególnie w technikum, kiedy rozpoczął przygodę ze sportem. Bardzo żałował, że nie jest wyższy o te pięć, dziesięć centymetrów, bo jak mówił Papa, jego trener, mógłby być niezwyciężony, prawie jak Cassius Clay, którego teraz czasem ogląda na plakacie w ulubionym pubie. Zawsze jednak brakowało mu czegoś, aby mieć złoto. Zdobywał brąz i srebro, czasem był czwarty lub piąty, ale nie dane mu było wygrywać. Pomimo to przeciwnicy się go bali i wiedział o tym. Tym czymś, czego mu brakowało, był zasięg ramion i wzrost. Nie lubił atakować. Na ringu nie miał szans, jeśli przeciwnik był wyższy i udawało mu się utrzymać walkę w pełnym dystansie. Gdy jednak rywal nie umiał walczyć przy linach albo w zwarciu, Bruno oparty o liny albo w narożniku doprowadzał do uderzenia, które zazwyczaj kończyło starcie pomyślnie. Potem, na pierwszym roku studiów, gdy jechał na swoim ukochanym motocyklu, złamał podwójnie kość ramieniową i łokciową, obojczyk, wyłąmał bark i staw promieniowo-nadgarstkowy. Przez pół roku był w gipsie i musiał wziąć urlop dziekański oraz zapomnieć o ringu. Ale nie zapomniał o motocyklach. Po ringu została mu sprawność fizyczna, a po wy-

padku motocyklowym – pasja do tych niezwykłych maszyn. Nadal był sprawny jak wyczynowiec.

Zalał kawową miksturę mlekiem i wypił duszkiem. Umył zęby i spojrzął za okno. Zanosilo się na piękny, wiosenny i słoneczny dzień. Zapinając pasek skórzanych spodni, przypomniał sobie śmiech i rumieńce niewiele od niego starszej pielęgniarki, kiedy zapytała zatroskana o „takiego ładnego i młodego chłopca” w szpitalu:

- Co ty widzisz w tym okropnym motorze?
- Ale to nie chodzi o to, co widzę, siostrzo!
- A o co? Chcesz być dawcą narządów?
- Nie chcę!
- To po co jeździsz na tych motorach?
- Bo lubię mieć coś dużego pomiędzy nogami.

Wsiadł teraz do garbusa i pojechał do garażu, gdzie trzymał swoje cacko. Koledzy, ci nieliczni, którzy nie rozumieli motocyklowej pasji, pytali, dlaczego jeździ tym gruchotem, i mówili:

- Sprzedaj motor i kup sobie porządną furę.

Wtedy niezmiennie odpowiadał:

– Mam już furę, wystarczy, że jedzie i nie pada na mnie deszcz, bo prawdziwa jazda zaczyna się dopiero na dwóch kółkach.

Wyprowadził czarno-żółtą yamachę XJR 1200, która miała niemal tak duży silnik jak jego garbus. Błyszczała chromem, polerowanym aluminium i przypominała, szczególnie starszym panom, angielskie motocykle z ich młodości. Ale tylko kiedy stał, bo gdy

ruszył, dźwięk silnika maszyny powodował drżenie serc każdego przechodnia. Dla każdego zaś, kto kochał motocykle, brzmiał jak najpiękniejsza muzyka.

Motocykl kupił za odszkodowanie 25% uszczerbku na zdrowiu i zakochał się w dźwięku, jaki wydawała z siebie maszyna. Kiedy zapalał, silnik pracował ci-chutko jak dobrze naoliwiona maszyna do szycia. Lecz przy lekkim obróceniu manetki gazu przeradzał się w bulgot, który wraz z mknącą w stronę czerwonego pola wskazówką na obrotomierzu przechodził w ryk roz-szalałego dzikiego zwierza. O ile tylko chciał. A nie zawsze tak było. Zazwyczaj wołał się upajać spokojną jazdą.

Wstawił volkswagena do garażu i zapiął pas ner-kowy. W tej samej chwili zadzwonił telefon.

– Tak, słucham. – Nie znał numeru.

– Cześć, mówi Agata.

– Agata?

– Tak, koleżanka Malwiny.

– Aaa... Agatka, to mówże od razu, że to ty! –
Uśmiechnął się.

– No, przecież mówię właśnie.

– Co się stało?

– Chciałam porozmawiać z tobą o Malwinie.

Zdenerwował się. Nie darzył jej zbytnią sympatią i co najwyżej tolerował, bo była jej przyjaciółką. Chce się wtrącać w ich sprawy – pomyślał. Postanowił utrzyć jej nosa.

– Słuchaj, to, co było między...

– Nie o to chodzi, Bruno – ucięła. – Proszę, pozwól mi tylko coś powiedzieć. Myślę, że właśnie ty powinienś wiedzieć o tym. Malwina nie wie, że do ciebie dzwonię.

– Skąd masz mój numer?

– Z jej telefonu.

– Uhm. To wiesz co... – Zamierzał wypalić solidną wiązanke.

– Uderzył ją.

– Co? – Bruno myślał, że się przesłyszał.

– Uderzył ją.

Zatkało go. Nie wiedział, co powiedzieć. Nie musiał pytać, o kogo chodzi. Krew się w nim zagotowała, a nadnercza chlusnęły w krwiobiegu wiadro adrenaliny.

– Wczoraj mi wszystko opowiedziała.

– Dzięki, że zadzwoniłaś. Nie mów jej, że wiem.

– Nie powiem. Nie martw się.

– Cześć.

Był wściekły. Jego ciałem i umysłem targaly przeróżne emocje.

– Kurwa mać! – wrzasnął głośno.

Obejrzał się. Szczęście, że przy garażach nikogo nie było i nikt go nie słyszał. W głowie odezwały się wspomnienia tej, którą wciąż kochał, tej, której za nic w świecie nie pozwoli skrzywdzić. Nawet teraz, kiedy już nie jest z nią i po tym jak go skrzywdziła, miękko mu się zrobiło w brzuchu na samą myśl, że coś złego mogłoby ją spotkać. A teraz ten gad jeszcze ją tknął.

– Zabiję go – rzekł pod nosem, uspokoiwszy się nieco.

Załóżył kask, zapiął pasek pod szyją. Ścisnął mocniej pas na kurtce i założył rękawiczki. Nacisnął przycisk rozrusznika. Silnik po chwili zabulgotał miarowo. Pozwolił, aby popracował minutę, i ruszył wolno pomiędzy garażami. Wyjechał na ulicę, ale zamiast skrócić w prawo, w drogę do pracy, zjechał na lewo i ruszył w zupełnie inną stronę. Postanowił przejechać Ozimską, pod jej szkołę. Postanowił spróbować. Może uda się zrealizować pomysł, na który wpadł, kiedy spojrzął na tarczę zegarka – myślał.

Przemykał pomiędzy samochodami czujny jak ryś. Odkąd uderzył w tamten samochód, którego kierowca myślał, że zdąży, stał się na motocyklu zupełnie innym kierowcą. Wiedział, że opatrność dała mu drugą szansę.

Była 8.30. Na drodze o tej porze w większości poruszały się kobiety, spiesząc się do pracy i zerkając w lusterka głównie po to, by sprawdzić makijaż. Kierowcy autobusów i tirów nie stanowili zagrożenia, oni patrzyli w lusterka, ich się nie obawiał. Przedstawiciele handlowi, chociaż zazwyczaj się spieszą, są dobrymi kierowcami, więc ich też się nie bał. Ale kiedy widział za kierownicą jakiegoś młokosa albo kogoś z długimi włosami, wyprzedzał dopiero, kiedy dostrzegł oczy w lusterku.

Zwolnił, gdy przejeżdżał pod jej szkołę. Nagle go zobaczył. Stał w drzwiach i rozmawiał z jakimś mężczyzną, śmiejąc się. Więc się udało!

Bruno jechał po przeciwległej stronie ulicy. Kiedy się zbliżył do nich na odległość kilkudziesięciu metrów, zwolnił, nacisnął sprzęgło i dodał gwałtownie gazu. Wskazówka obrotomierza podskoczyła gwałtownie do ponad 10 tysięcy, a tłumiki wydały z siebie ryk przywodzący na myśl startujący samolot. Adam i współtowarzysz odwrócili głowy w stronę hałasu zdziwieni i zdegustowani, na co motocyklista puścił kierownicę i wyprostował nogi, stając na podnóżkach. Patrzyli ciekawi, co dalej się stanie, niemal czekając na krew. Tymczasem Bruno wskazał ręką Adama, po czym wykonał gest wskazujący, że podejrzenie mu gardło. Następnie usiadł i pomknął, przejeżdżając najbliższe skrzyżowanie na żółtym świetle.

Bruno nie mógł tego widzieć, ale Adam zbladł. Zrozumiał, kto jechał na motocyklu. Wiedział też, dlaczego Bruno pokazał ten gest.

18.

Ból jest najbardziej dotkliwym uczuciem, które targa człowiekiem, kiedy zostaje nagle sam – pisał. Ludzie odchodzą zawsze w ten sam sposób. Znikają z życia i nigdy nie pojawiają się z powrotem. Różnicę stanowi jedynie sposób ich zniknięcia. Kiedy umierają, odchodzą wraz z ciałem, żyjąc już tylko w naszych wspo-

mnieniach albo w innym świecie, w co staramy się wierzyć, by ukoić ból. Jest to śmierć prawdziwa. Czasem jednak ludzie odchodzą za życia. Jest to śmierć pozorną, ponieważ w sensie fizycznym człowiek żyje, ale odchodzi z naszego serca, bo wydarzyło się coś, czego się dopuścił. Jeśli człowiek umiera za życia, ból ma gorzki smak. Moje serce przypomina teraz cykute wypełnioną po brzegi bólem rozstania. Teraz, Beatko, wiesz już wszystko?

– Tak... Chyba tak.

Nie spodziewała się, że przeczyta coś takiego. Kiedy zapytała go, czy jest ktoś w jego życiu, była po prostu ciekawa. Kiedy opowiedział jej o tym, co się stało, musiała wiedzieć, dlaczego do tego doszło. Kiedy wiedziała już wszystko, żalowała, że zapytała. Poczula, jak bardzo jest mu go żal. Zrozumiała, że wirtualna znajomość przebiega innymi torami niż ta prawdziwa, rzeczywista i, o dziwo, inaczej, niż zakładała.

Od tej rozmowy wiele się zmieniło. Pojęła, że jest między nimi specyficzna więź. Opowiedział o swojej wielkiej miłości tak pięknie, jakby rozkładał zdjęcia albo wyświetlał film. Kiedy opowiadał o Malwinie, mówił tak ciepło, że rozumiała, jak musieli być wyjątkową parą. Kiedy ją opisywał, poczuła zazdrość. Gdy skończył, wiedziała, że ta dziewczyna wyrządziła mu wiele krzywdy. Zdała też sobie sprawę, że Bruno jest wyjątkowym mężczyzną, zwracał bowiem uwagę na drobiazgi, które zwykle umykały mężczyznom, a spotkała ich wielu. Nie był typem, który imponuje kluczy-

kami do samochodu, najnowszym telefonem i butami ze skóry krokodyla, węża czy jakiegokolwiek innego biednego stworzonka.

Postanowiła, że choć ich znajomość wirtualna w pracy jest ekscytująca, dalej tak być nie może. Zdecydowała, że chce go poznać. Rzeczywistego i namacalnego. Przy tym nagle odczuła coś, co ją zaskoczyło. Wcześniej, myśląc o nieuchronnym w końcu spotkaniu, bała się, że Bruno w jakimś wymiarze ją zawiedzie. Zapachem, głosem czy sposobem bycia. To powstrzymywało ją przed spotkaniem przez prawie sześć tygodni wirtualnej znajomości. Teraz już tego nie czuła. Czuła za to, że chce się z nim zobaczyć. Jak najszybciej.

Pojawiła się też po raz pierwszy inna obawa. Co jeśli jemu mój zapach nie będzie odpowiadał? – myślała. Jeśli to ja mu się nie spodobam?

19.

Nie mogła się skupić na wykładzie. Po wizycie w biurze pobieгла na uniwersytet. Wizyta w pracy pozwoliła ominąć poranne ćwiczenia z biochemii, na które i tak nie było sensu iść, ponieważ prowadził je Dziadek. Tak wszyscy go nazywali, pomimo że znała wielu starszych wykładowców, bardziej przypominających dziadków, jednak właśnie do niego przyłgnęło to geriatryczne przezwisko niczym drugie nazwisko albo kamizelka, którą stale zakładał. Choć miał dopiero

około pięćdziesiątki, był siwy jak Święty Mikołaj. Stałe obcowanie z kwasami, wodorotlenkami, zasadami i całą tablicą Mendelejewa uczyniło zeń dziadka. Wykladał biochemię, choć był chemikiem i wyłącznie chemia leżała w polu jego zainteresowania. Siadał przy biurku i na ćwiczeniach zdarzało się, że student przepisywał rachunek jakiegoś ćwiczenia z tablicy, która wisiała na drugiej stronie, a Dziadek nie zauważał tego lub raczej to ignorował.

Dlatego zrezygnowała z tego durnego wykładu. Poszła na drugi, do profesora Kubickiego, zyskując cenny czas na rozmowę z Brunonem i na przemyślenia. Kubicki był niecodziennym wykładowcą, niezwykle w całym swym jestestwie. Już sam wygląd zewnętrzny zdradzał niecodzienne przymioty mężczyzny. Niewielki, można by rzec – jak wróbelek, chudziutki, z długą rudawą brodą przypominał studentom Mikołaja, Dziadka Mroza czy Papę Smerfa. Nie jej jednak. Beatce bowiem przywodził na myśl Karola Marksa, Zygmunta Freuda lub Arystotelesa. Choć był niewielki, jego umysł wydawał się potężny jak broń jądrowa. Wielokrotnie zdarzało się, że wykorzystywał ją z takim skutkiem jak Roosevelt w Hiroszynie i Nagasaki. Potrafił doprowadzić pytanego lub raczej rozmówcę do płaczu. Studenci próbowali udawać przed nim mądrzejszych niż w rzeczywistości, co rzecz jasna było niedorzeczne, okazywało się kardynalnym błędem. Zewnętrzną oznaką tego było używanie wykwintnego, wyszukanego słownictwa, z licznymi spójnikami „iż”,

„ponieważ”, „bowiem” itd., które miało rzekomo czynić studencką wypowiedź bardziej elokwentną. Kiedy to wyczuł, a wyczuwał to niemal, zanim zadał pytanie, patrząc przenikliwym wzrokiem w studenckie, pełne strachu oczy, miażdżył natychmiast nieszczęśnika następnym pytaniem. Sprawa zazwyczaj kończyła się dla studenta nokautem.

Z nią było jednak inaczej. Nie bała się go. Lubiała i uważała, że jest najbardziej wartościowym pracownikiem naukowym jej uniwersytetu. Zgłosiła się jako jedyna z grona stu osiemdziesięciu studentów na seminarium magisterskie właśnie do niego i nie żałowała ani chwili, co było zresztą źródłem licznych spekulacji i komentarzy ze strony mniej wyewoluowanych kolegów i koleżanek. Nie udawała przed nim nikogo, kim nie była, i dzięki temu współpraca z Kubickim układała się znakomicie. Zauważył ją kiedyś na wykładzie z filozofii, jeszcze na drugim roku.

– Czym dla pani jest typ idealny? Proszę przedstawić kolegom i koleżankom pojęcie typu idealnego. Proszę powiedzieć, jak pani rozumie... hm... na przykład pojęcie idealnego konia – zapytał.

Sala wybuchła salwą bezmyślnego śmiechu, co ani ją, ani jego zupełnie nie rozśmieszyło. Wzięła głęboki oddech, poprawiła strąk włosów spadający na usta, bezwiednie dotknęła srebrnych oprawek okularów i odpowiedziała spokojnym tonem:

– W moim odczuciu jest to koń, który posiada wszystkie cechy, które czynią z tego konia idealnego.

– Proszę podać przykład.

Patrzył przenikliwym wzrokiem i każdy wiedział, że drugie pytanie jest najczęściej początkiem końca każdego profesorskiego rozmówcy.

– Duży...

– A według mnie mały, droga pani.

Zbliżył się, niemal czując krew ofiary, na co odezwiała się niespodziewanie:

– Zgadza się.

– Nie rozumiem.

– Mały też może być.

– Hm, może pani to rozwinąć?

Na sali zapanowała cisza. Wszyscy zwrócili się w ich stronę, oczekując szansy na wybuch gromkim śmiechem, obnażającym jej rzekome intelektualne dno.

Była nową twarzą w grupie. Trafila na drugi rok nie wiadomo skąd. Prawda była taka, że czwarty semestr zaliczyła z pominięciem pierwszego roku, w jednym czasie zaliczając materiał z pierwszego i drugiego semestru, będąc równocześnie studentką drugiego roku z wpisem warunkowym na indywidualnym toku studiów. Ale o tym wiedziała tylko ona, dziekan i kilka innych osób.

– Koń może być mały i duży – mówiła – czarny i biały, szybki i wolny. Wszystko to musi być jednocześnie, innymi słowy, nasz przykładowy koń musi mieć wszystkie cechy, którymi można by go scharakteryzować, aby mógł być idealnym.

– Doskonale – odparł i rozwinął nieco jej myśl, uzupełniając pojęcie typu idealnego o inne przykłady.

Wszyscy patrzyli na nią z nieklamany podziwem. Później profesor obserwował wpisujących swoje nazwiska na listę obecności. Była 14. Kiedy lista wróciła, zapamiętał jej nazwisko.

Zrobiła wrażenie na nowych kolegach. Po jakimś czasie przyzwyczaili się, że Beatka jest niezwykle błyskotliwa, ma ogromny zmysł analityczny, potrafi kojarzyć na pozór zupełnie przypadkowe fakty. Pod koniec semestru dla wszystkich było jasne, że mają do czynienia z najlepszą studentką na roku. Przy tym każdy co bardziej inteligentny zdawał sobie sprawę, że nie jest najlepszą dzięki pracy, bo zupełnie nie przykladała się do zajęć, ale dzięki wrodzonym umiejętnościom.

Kiedy odkryto, że umie szybko czytać ze zrozumieniem i ma iloraz inteligencji powyżej 160, stwierdzono, że jest zaprzeczeniem kawałów o blondynkach. Stało się to zupełnie przypadkiem na zajęciach z psychologii. Rozpoczynając test, profesor Sadovnikov pozwolił, aby każdy podpisał test wybranym pseudonimem. Potem, kiedy sprawdził testy, wyczytywał wyniki Misiów Uszatków, Dolly Parton czy Freddiego Mercury’ego. Nagle złamał obietnicę.

– Który z panów to Igor Lipiński?

Wśród przeciętnych wyników, mieszczących się w granicach od 105 do 119, nagle pojawił się bowiem test punktowany aż na 160. W sali zapanowała cisza, a

studenci patrzyli z zaciekawieniem na siebie, po czym ktoś z sali się odezwał:

– Panie profesorze, chyba nie ma nikogo takiego w naszej grupie, zresztą test miał być anonimowy.

– Tak, masz rację – odpowiedział. – Ale ktoś z was, moi drodzy, osiągnął wynik kwalifikujący do Mensy. I chciałbym zobaczyć, kto to jest.

Beatka nie musiała się przyznawać. Kiedy sala usłyszała, że ktoś osiągnął taki wynik, padło nieuchronne pytanie:

– Beata? Kto to jest Igor Lipiński?

Dziewczyna zarumieniała się i uśmiechnęła. Dla wszystkich było to tak samo jasne jak to, że jeden plus jeden daje dwa. Najgorsze dla jej kolegów (choć tylko na początku, bo potem wszyscy się przyzwyczaili) było to, że nie przejawiała najmniejszych oznak tego, kim była, będąc normalną, piękną blondynką, jakich pełno widuje się codziennie na ulicach.

Wykład z biochemii przeczytała na początku wykładu Kubickiego, kiedy przygotowywał się do zajęć. Słuchała go z uwagą i nudziły ją kolejne przykłady obrazującą jakąś tezę – były dla niej zbędne, niemniej wiedziała, że są konieczne, aby reszta studentów mogła wykład w pełni zrozumieć.

Jej myśli zaprzętała dzisiejsza rozmowa z Brunonem. Tym, co opowiedział i co dzisiaj wieczorem się stanie. Czula lekki dreszcz. Tłumaczyła to podnieceniem przed spotkaniem. Z kimś, kogo jeszcze nie widziała, a zna wyłącznie na odległość. Było to dla niej

zupełnie nowe, ekscytujące doświadczenie. Postanowiła, że napisze do niego.

– Wiesz, czego najbardziej jestem ciekawa w Tobie?
– wystukała na klawiaturze swojej Nokii.

Po chwili w skrzynce odbiorczej pojawiła się odpowiedź:

– Czego? – odpowiedział, tak jak chciała.

Często zdarzało się jej zadawać pytania, na które znała odpowiedź. Bawiło ją to. Tak właśnie miało być i tym razem – pomyślała, wysyłając kolejną wiadomość.

– Tego, jaki masz zapach.

Nie odpowiedział. Troszkę ją tym zaskoczył, powinien był odpisać.

Wykłady dobiegły końca. Skwarek, kolega z grupy, bez większych próśb odwiózł ją do domu. Nie mogła jechać autobusem, byłoby to zbyt czasochłonne. Musi jeszcze ugotować obiad, iść na solarium i przygotować się do dzisiejszego spotkania – myślała. W drodze z uczelni do domu opowiedziała Skwarkowi o Brunonie.

Skwarka poznała jeszcze w liceum. Był jej najlepszym kolegą. Zdawała sobie sprawę, że kocha ją tak bardzo, że mógłby dla niej zrobić wszystko. Gdyby go poprosiła, stalby się w mig Mehmetem Ali Agcą Bis i zabiłby dla niej każdego, łącznie z George'em Bushem, Jennifer Lopez i braćmi Kaczyńskimi. Kochał ją do szaleństwa, co było jej bardzo na rękę. Lubiła go, ale nie pociągał ją w żaden sposób, choć kiedyś, aby mieć go zupełnie na własność, pozwoliła mu

się pocałować, dotykać biustu i intymnych miejsc przez spodnie. To zapewniło całkowite oddanie.

Czasem miała niewielkie wyrzuty sumienia, że tak zrobiła i uczyniła go nieszczęśliwym, ale wysoko wyspecjalizowany zmysł utylitarny szybko zagłuszał sumienie. Czerpała z tego profity. Mało ją obchodziło, że ją kochał. Zresztą nie była pewna, czy wszystko, co dla niej robi, czynił dlatego, że darzy ją prawdziwym uczuciem, czy dlatego, że chciałby jak wszyscy się z nią przespać.

Była przyzwyczajona, że mężczyźni przeważnie chcieli iść z nią do łóżka. Nie widziała nic złego w tym, że ci „wszyscy” byli darmowym źródłem drinków, wyjść do kina, restauracji i wszystkiego, czego potrzebowała, a przy tym czasem okazywali się na tyle mili, że zasługiwali na niewielką nagrodę, co jednocześnie mogło być przyjemne lub chociaż zabawne. Skwarek jednak był z nich najważniejszy. Kiedy odwoził ją do domu i opowiedziała o Brunonie, zapytał:

– A nie boisz się, że go skrzywdzisz?

– Słucham?

– Że skrzywdzisz go tak jak innych. Jak mnie na przykład.

– Ciebie? Przecież nigdy cię nie skrzywdziłam!

– Niczego nie rozumiesz. Nie chodzi o to, czy mnie skrzywdziłaś, czy nie, prawda jest tylko jedna. Ze mną sprawa jest jasna – kocham cię i dobrze o tym wiesz. Ale po co ci ten, no, Bruno? Z tego, co opowiadasz, wydaje się w porządku. Po co go krzywdzić?

– Wiesz co, wkurzasz mnie, chyba jesteś po prostu zazdrosny, ale zapewniam, że nie masz najmniejszych powodów do tego.

Spojrzała w bok i dopadło ją uczucie, które ją ogarniało, gdy ktoś ją kokietował. Dojeżdżali do domu. Tymczasem Skwarek nie dawał za wygraną.

– Daj mu spokój.

– O co ci chodzi? – Rozdrażnił ją mocniej.

– Uwiedzisz go tak samo jak mnie, owiniesz wokół palca, a potem zapomnisz.

– O czym ty mówisz?

– Dobra, nieważne.

Wyczuła w jego głosie dziwny ton, jakby miał do niej żal. Wysiadła z auta.

– Na razie i nie myśl o tym za wiele. Bruno to tylko kolega z pracy.

– Uhm...

– Przestań!

– Dobrze. Idź już. Na razie.

Odeszła kilka kroków od samochodu i rzucił:

– Beata!

– No, co jeszcze?

– Uważaj na siebie.

Kochany Skwarek – pomyślała. Nawet kiedy się pokłóca, zawsze chce dla niej najlepiej.

– Nie martw się, nic mi nie robi.

– Nie o to chodzi. Uważaj, żebyś to ty nie zrobiła mu krzywdy. Nie wszyscy kochają jak ja – rzucił, ruszając.

Popatrzyła na odjeżdżającą ibizę i poczuła nagle dziwny dreszcz. Wskoczyła szybko na schodki. Przekręcając zamek w drzwiach, poczuła, że brodawki jej sutków są twarde. Były twarde od chwili, kiedy opowiedziała Skwarkowi o Brunonie. Uśmiechnęła się do siebie.